Nr. 8 Poznań, dnia 21 lutego 1909 r. Rok XIII

Abonament
wynosi kwartalnie
na poczcie. . . 1,50
z odnoszeniem
do domu . . 1,62
pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi:
Poznań,
ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97.
Ogłoszenia:
od wiersza drobnego
30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść: Sprzedawczykostwo. — Na widowni. — Przegląd prasy. — Materyały do historyi miasta Miłosławia i okolicy. I. II. — Rzemiosło i jego organizacye. (Ciąg dalszy). — Z żałobnej karty. — Ś. p. Maryi Meissner. (Wiersz). — Koncert Godowskiego. — Z teatru. — Do Matki. (Wiersz). — Dział kobiecy. — Pogadanka naukowa. — Z dziedziny hygieny. — Nowe książki i treść pism. — Na Jasnej Górze. — Popielec. (Wiersz). — Śmierć Jana Tenczyńskiego. — Gdyby nie dziecko. (Nowela). — Do dziewczęcia. (Wiersz). — Cień anioła. (Legenda). — Wiadomości. — Nekrologia. — Od Redakcyi. — Kalendarzyk historyczny. — Humor i satyra. — Łamigłówka. — Ogłoszenia.

Felieton: Naród polski pod obcem panowaniem. (Ciąg dalszy).

Powieści: Czarna ręka. (Ciąg d.) — Rozczarowanie. (Ciąg d.)

Ryciny: Albumowa: Śmierć Jana Tenczyńskiego. — † Erazm Jerzmanowski. — † Zygmunt Przybylski. — Leopold Godowski. — Sześć rycin do artykułu p. t. „Na Jasnej Górze". — Podstępny (Rycina humorystyczna).

SPRZEDAWCZYKOSTWO.



Najszczytniejszem zadaniem szlachty, która za czasów wolnej Rzeczypospolitej w Polsce ster spraw dzierżyła, była przedewszystkiem obrona kraju przed zewnętrznym wrogiem, obrona kraju, a więc ziemi ojczystej, która mnogie wypiastowała pokolenia, obrona ludu tę ziemię pracowitemi uprawiającego dłońmi.

Nie imał się szlachcic handlu i przemysłu, zajęcia te niesłusznie za niegodne swego urodzenia uważając, natomiast prowadził pług w czasach pokoju, a czasu wojny miecz w obronie łanów ojczystych podnosił. Nie miała Polska granic obronnych. Szlacheckie piersi starczyły za fortece. Pod ich ochroną uprawiał spokojny wieśniak ziemię, mieszczanin w miastach pracował nad podniesieniem handlu i przemysłu rodzimego. I wywdzięczała się ta ziemia i ten lud sowicie swym obrońcom. Magnackie fortuny, wszechwładza w kraju, dostojeństwa i zaszczyty padły w udziale tej jedynej warstwie społecznej, rycerskiem trudniącej się rzemiosłem.

Dziś inne czasy, inne stosunki. Lecz zadanie szlachty najgłówniejsze nie zmieniło się. Dziś, jak przed 100 i 500 laty, jak za czasów Mieszków i Bolesławów, Jagiełłów, Zygmuntów i Wazów zadanie szlachty to samo: bronienie ziemi. Nie mieczem w zbrojnych zapasach z zewnętrznym wrogiem, lecz pracą usilną, zapobiegliwością, oszczędnością, głową i sercem.

Niestety u nas w części sprzeniewierzyła się szlachta temu szczytnemu zadaniu z wielką szkodą dla społeczeństwa. Przez długie lata wyprzedawała się z majątków na rzecz Niemców, aż wreszcie, gdy się jej oczy otworzyły na przepaść, w którą naród wskutek tego się stacza, i zaprzestała sprzedawać ziemi kolonizacyi, uchwalono w sejmie pruskim słynną ustawę wywłaszczycielską. Ustawa ta wymownie świadczy o materyalnem i moralnem podniesieniu się naszego ziemiaństwa, jest ona jakoby świadectwem wystawionem przez wroga obywatelskiemu duchowi ziemiaństwa naszej dzielnicy. Chorobę sprzedawczykostwa, tak strasznie ongi grasującą, zwalczyliśmy nareszcie. Szlachta w twardej walce przypomniała sobie o swych zadaniach najważniejszych, stała się znów obronicielką i mnożycielką ojczystej ziemi.

Tak w naszej dzielnicy.

Niestety inaczej dzieje się w dwóch dalszych zaborach. Nie ma tam kolonizacyi państwowej, ani ustawy wywłaszczycielskiej, a przecież kurczy się stan posiadania polski tak w Galicyi, gdzie Żydzi, ta awangarda niemiecka, zagarniają majątki, szerząc demoralizacyę pomiędzy ludem i wysysając go w sposób straszliwy, jak w „zabranych prowincyach" na Litwie i Rusi, gdzie niepolski chłop miejscowy wypiera z roli szlachcica Polaka, jak nareszcie w Królestwie Polskiem, tem sercu Polski, gdzie potulny Niemiec coraz głębiej zapuszcza zagony. Już wyczerpująca praca p. Górskiego, który w znakomicie opracowanej książce wykazał przestraszające rozmiary kolonizacyi niemieckiej w Królestwie, poruszyła umysły w społeczeństwie tamecznem, a nawet w prasie rosyjskiej żywo była komentowana. Niestety obszernie swego czasu komentowany głos p. Górskiego przebrzmiał na puszczy indolencyi ekonomicznej znacznej części tamecznego ziemiaństwa. Coraz nowe dochodzą wieści hiobowe, świadczące o wielkim zaniku poczucia obywatelskiego w szeregach szlachty Królestwa kongresowego, skoro ta warstwa, która przodować winna w obronie ziemi, lekkomyślnie wydaje ją na łup niemieckiej zachłanności ekonomicznej.

Oto, jaki „głos rozpaczy" przebrzmiewa z kół patryotycznej szlachty ziemi Dobrzyńskiej. Piszą oni w „Dzienniku Powszechnym:"

„Patrząc ze śmiertelną trwogą na przechodzenie ziemi polskiej do rąk niemieckich, coraz gromadniejsze i pomyślniejsze dla nabywców, my ziemianie, autochtoni ziemi Dobrzyńskiej, którzyśmy jeszcze nie ulegli pokusie złotego cielca, podaliśmy sobie ręce, zobowiązując się słowem honoru, że trzymać się będziemy własnego zagonu, dopóki nie poczujemy noża na gardle, dopóki tabliczka mnożenia nie przekona nas, że jeśli dziś nie sprzedamy, to jutro zostaniemy bez dachu.

Od chwili tej unii sąsiedzkiej upłynęło zaledwie kilka miesięcy, a już znowu wielki szmat ziemi, należący do naszych sojuszników, został pokrajany na kolonie i folwarki.

Niemcy zapłacili za ziemię bez targu, tak hojnie, jakby mieli zapewnienie, że bank hakatystów ziemię odkupi, jeśli nabywca tego zażąda. I tak jest

rzeczywiście, bez pomocy kapitalistów berlińskich niemieccy koloniści i więksi obszarnicy, z natury i wychowania rozważni i rachunkowi, nie zgadzaliby się na ceny tak wygórowane. Działa tu ze strony niemieckiej przekonanie, że Królestwo stanie się niezadługo prowincyą Niemiec, a ze strony polskich właścicieli obawa, że jeśli się ze sprzedażą nie pospieszą, mogą być wywłaszczeni przez nowych władców.

Próbowaliśmy sprzedawczyków odstraszyć pogardą, wyłączeniem ich z Towarzystwa, lecz groźby w tym rodzaju już spowszechniały: nikt się ich nie lęka, owszem, ma się ten za mądrzejszego od innych, kto nie czekając, aż pruskie panowanie w Królestwie stanie się faktem politycznym, wywłaszczył się dobrowolnie, z dobrym zarobkiem.

Niemcy korzystają z ułatwień, jakie ich czekają na każdym kroku, w każdym interesie, jaki u nas przedsiębiorą. Wszystko im wolno, nikt na nich palca nie zakrzywi, a że tam jakiś włościanin zaklnie — Prusak przekleństwa nie rozumie; że tam jeden i drugi dziennik polski na tyralierkę, dziś ten, jutro tamten, na nich strzałę papierową wypuści — nie zlękną się, bo od sroższych ciosów są zabezpieczeni protekcyą...

Trzeba nietylko budzić, ale trzeba zbudzić sumienie całego społeczeństwa, nietylko jednostek, a do tego pomódz może prasa nasza, jeśli się weźmie za ręce.

Nie załatwi ona wszystkiego, ale załatwi bardzo wiele i sprawi to, że każdy sprzedawczyk będzie piętnowany jako zdrajca i śród tych, co jeszcze zostali, nie znajdzie przytułku, ani rodziny. Opisujmy ich i portretujmy, jak opisujemy i portretujemy złoczyńców różnych kategoryi, przed którymi listy gończe ostrzegają społeczeństwo.“

Nie pisze tego jakiś „radykalny“ dziennikarz bez kłosa i roli, lecz jestto głos, pochodzący z kół samejże szlachty, która — o ile jest patryotyczną — z przerażeniem patrzy na krzywdy, zadawane narodowi ze strony własnych członków.

Pocieszający to znak, że właśnie szlachta sama zabiera się do tępienia sprzedawczykostwa w swoich szeregach. W pracy tej nie należy ustawać, gdyż sprzedawczykostwo to uporczywa choroba. Leczyć ją zaś trzeba głównie przez wszczęcie wydatnej akcyi ratunkowej w kierunku gospodarczym, podnosząc wydajność roli przez celowe melioracye, intenzywniejszy sposób gospodarowania i t. p. tudzież przez zakładanie specyalnych instytucyi ratunkowych, parcelacyjnych, kredytowych, ułatwiających zbyt i zakupno ziemiopłodów i sztucznych nawozów. Tyle bowiem pewna, że najgłębszym powodem zastraszającego uciekinierstwa z roli, jest przedewszystkiem zły stan majątkowy ziemian, niska renta, jaką w Królestwie ziemia przynosi, a także lichy materyał robotniczy. Robotnik w Królestwie mało zarabia, lecz mimo to stosunkowo więcej kosztuje dziedzica, biorąc w rachubę wydajność jego pracy, niż o wiele droższy, ale za to sprężystszy i produktywniejszy robotnik tutajszy.

Jakkolwiek by było nie można obojętnie patrzeć na ten nowy podział Polski, dokonujący się dobrowolnie w dwóch dalszych zaborach. Trzeba na to zwracać uwagę w pismach publicznych i przeciwdziałać inwazyi niemieckiej na wszystkie dozwolone sposoby. Pamiętajmy, że ze wszystkich ziem polskich najbardziej polską, najwięcej jednolitą pod względem narodowym i religijnym jest ziemia Królestwa Polskiego. Nie

---

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

101) Opowiedział

Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy.)

Nadto Galicya rozdarta jest skutkiem dawnych podburzań austryackiej biurokracyi. I zaprawdę smutno dziś wyznać, że, gdy Słowianie całej Europy jako członkowie jednej potężnej rodziny, zbliska i zdaleka, przybywają do siebie i łączą się dla wspólnej pracy i obrony praw swoich [1]) — tylko w małej Galicyi bratnie plemiona słowiańskie na wspólnie od wieków zamieszkanej ziemi pogodzić się ze sobą nie mogą. Skutkiem nienawiści Rusinów wschodniej Galicyi do Polaków, padł śmiercią od skrytobójczego zamachu Rusina namiestnik Galicyi Andrzej hr. Potocki, jeden z najzasłużeńszych obywateli, wcale Rusinom życzliwy. — Przy dzisiejszej dla Polaków życzliwości rządu austryackiego, który dawniej tak korzystał z tej rozterki plemiennej w Galicyi, nie ustała wcale nienawiść wielu Niemców do Polaków i oburza ich ta swoboda życia Polaków galicyjskich. Tę swoją nienawiść objawiają też gdzie tylko mogą, szczególnie zaś na granicach Prus i na Śląsku, dopuszczając się nawet czynnego znieważania Polaków, zgromadzonych na zebranie narodowe z różnych stron Polski, jak to się stało w Cieszynie (w lecie r. 1908) i powtórzyło później w innych miejscowościach.

f.) Reforma wyborcza.

Wypadki w Rosyi w latach ostatnich wywarły swój wpływ także i na monarchię austryacko-węgierską. Pod wpływem tych wypadków wystąpił w jesieni r. 1905 austryacki gabinet barona Gautscha z projektem reformy wyborczej w duchu *powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego głosowania.* Projekt ten jednak, jako mało korzystny i nie rozszerzający autonomii krajów, odrzuciła Rada Państwa w Wiedniu (w lutym r. 1906), głównie zaś Koło polskie z prezesem Wojc. hr. Dzieduszyckim na czele. Gabinet bar. Gautscha musiał ustąpić, jego następca książę Konr. Hohenlohe przeznaczył już dla Galicyi 106 mandatów na 516 i przyznał dla niej różne ustępstwa i korzyści. Polacy otrzymali mandatów (czyli miejsc poselskich) 78, Rusini 28. Ten projekt reformy wyborczej po różnych zmianach przeprowadzony został ostatecznie przez mini-

[1]) W lipcu r. 1908 odbył się w Pradze czeskiej zjazd wszechsłowiański spowodowany przedewszystkiem boleścią i łzami cierpiących Wielkopolan. Przedstawiciele różnych plemion olbrzymiej rodziny słowiańskiej, plemion rozprószonych, powaśnionych, toczących walkę bratobójczą, złączyli się pod sztandarem wspólnej myśli słowiańskiej:

— Nadszedł czas ostateczny, aby porzucić walki między sobą a zjednoczyć się i rozpocząć pracę dla wspólnej obrony i dla pozyskania lepszej przyszłości wszystkich członków całej słowiańskiej rodziny!

I w zebraniu tem znać było, że to członkowie jednej rodziny, gdyż w serdecznem obcowaniu łatwo porozumiewali się, każdy mówiąc swoim językiem: polskim, czeskim, rosyjskim, ruskim, słowackim itd. Rozpływały się miękkie i czułe serca słowiańskie a brat Czech łagodził, pieścił i godził powaśnionych braci Lecha i Rusa, bo waśń ta była właściwie srogim wiekowym uciskiem pierwszego przez drugiego. Niezwykle ważnem było to zbliżenie się Rosyan do Polaków i zmiana poglądu na politykę Rosyi, która według zapewnień posłów rosyjskich, miała odtąd zwrócić się w innym kierunku. Na zjeździe tym prawie jednogłośnie zapadły następujące ważne uchwały: Zjazd wszechsłowiański i wystawa w Moskwie w r. 1911. Utworzenie wielkiego wspólnego banku słowiańskiego. Organizacya słowiańskiego dziennikarstwa. Urządzenie słowiańskiego biura korespondencyjnego. Rozszerzenie sokolstwa na wszystkie ziemie słowiańskie. Organizacya turystyki (podróżnictwa) słowiańskiego. Organizacya słowiańskiego handlu księgarskiego. Organizacya oświaty ludowej na wzór czeskiej „Oświety.“

wydawajmy jej na łup obcych przybyszów!

Artykuł ten kończymy gorżkim okrzykiem poczciwego gospodarza pana Hieronima Kolabryny, który w „Mazurze“ płockim w końcowym ustępie swego artykułu tak się odzywa:

„W kraju naszym tylko w rolnictwie cała zasada, a rozsprzedana ziemia już się w polskie ręce nie wróci. O biedna ty ziemio polska, na której tyle się urodziło pokoleń i je wyżywiłaś, śpichrzem byłaś nietylko dla nas, ale i całej Europy, coś nam zawiniła, że tak dużo cię nie chce mieć swoją matką karmicielką, choć na tobie ujrzeli świat Boży i się wychowawli; nie chcą cię zostawić w spuściźnie swoim dzieciom. Za co cię tak znienawidzili, że na cię sprowadzają przybyszów, jakoby na tobie chcieli założyć państwo niemieckie i sprowadzić zagładę Polski?“

A my dodajemy: Nie będzie zagłady Polski, póki lud polski sam sobie wiernym pozostanie. Niechaj się zbudzi w dwóch dalszych zaborach tak, jak się zbudził u nas, a próżne będą wszelkie zakusy wrogów. W ludzie bowiem Bóg złożył nieprzebrane skarby wiecznie się odnawiającej siły twórczej, lud pozostanie wiecznie młodym. Padnie, co zgniłego jest w nas, takie jest prawo natury, lecz żyje, kwitnie i rozwija się, co ma w sobie warunki życia. Nie ocali nas pieniądz ani polityka, ani nawet kultura, jeżeli to wszystko tylko nielicznych wyższych warstw będzie udziałem. Tylko lud mienny, politycznie wyrobiony i kulturalny zapewni sprawie naszej zwycięstwo. W tym kierunku przedewszystkiem pracować należy tak u nas, jak w dwóch dalszych zaborach. To jest naczelnym postulatem całej naszej polityki.

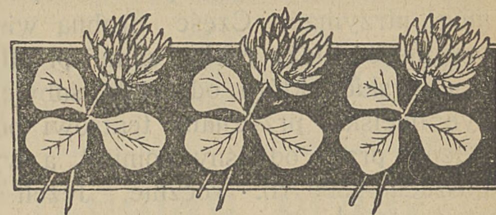
Kto jest bogaty, niech się szczodrobliwością ukazuje być ubogiego bratem, kto jest rozumem i mądrością obdarzon, niech nauki swej i rady użycza potrzebnym; kto szlachectwem albo możnością wiele może, niech zwierzchność i możność swą obracu na bronienie niewinnych a pokornych. Bo się zda, jakoby wszelaką ludzkość zwlekli z siebie i prawo braterstwa porzucili oni, którzy bogatemi będąc, sobie tylko bogaci są; którzy uczeni i mądrzy, sobie tylko nauką i mądrością swoją obmyślają.

Andrzej Frycz Modrzewski.

* * *

Naprzód — choć powoli,
Zmilczeć — choć co boli.

P. Wężyk.



Na widowni.

Do bardzo dotkliwych strat, jakie w ostatnim czasie poniosło społeczeństwo polskie, zaliczyć należy upadek polskiego teatru w Wilnie. Teatr ten przez $2^1/_2$ lat swego istnienia był rozsadnikiem i krzewicielem kultury polskiej w Wilnie. Obecnie kierowniczka jego, pani Młodziejowska-Szczurkiewiczowa, znana także poznańskiej publiczności teatralnej, gdyż przed 4-ma laty na naszej scenie występowała, zaniechała kosztownego przedsiębiorstwa z powodu braku materyalnego poparcia ze strony publiczności wileńskiej. W ten sposób Wilno straciło wybitną placówkę kulturalną, nad czem gorąco ubolewać należy. Główną przyczyną upadku teatru wileńskiego była ta okoliczność, że Wilno w większości żydowskie (tameczni Żydzi zaś czują się Rosyanami i rosyjski popierają teatr) nie było w możności dostarczenia teatrowi publiczności te-

---

steryum bar. Włodzim. Maks. Becka. Członkami tegoż ministeryum byli Wojc. hr. Dzieduszycki i dr. Witold Korytowski, prezesem dr. Mich. Bobrzyński późniejszy namiestnik Galicyi. — W skład austryackiej Rady Państwa wchodzą dwie Izby: Izba panów i Izba posłów. Z Galicyi do Izby posłów wybierało 5 klas wyborczych czyli kuryj a mianowicie: wielkie posiadłości ziemskie, 20 posłów; miasta 13 posłów; Izby handlowe i przemysłowe, 3 posłów; gminy wiejskie, 27 posłów; kurya powszechna wprowadzona w r. 1896, posłów 15.

Z przyjęciem projektu reformy wyborczej wybory przez kurye zostają zniesione, a parlament austryacki (czyli zgromadzenie Rady Państwa) wybierany jest od r. 1907 na podstawie powszechnego, bezpośredniego, tajnego i równego prawa głosowania.

g) Żydzi.

Żydzi zamieszkiwali przed tysiącem lat Palestynę,[1]) po zburzeniu Jerozolimy przez cesarza rzymskiego Tytusa w roku 70 po Chrystusie rozproszyli się po całym świecie.

W Polsce ukazali się najprzód za Władysława Hermana (1079—1102), otrzymali przywileje i płacili *pogłówne żydowskie.* Liczba żydów wynosiła po roku 1900 przeszło 10 milionów, w ziemiach polskich 3 miliony, w Austryi 2 miliony, w Galicyi otrzymali żydzi prawo obywatelstwa. Podzieleni na gminy wyznaniowe żydowskie z radą czyli kahałem na czele, utrzymali oni przez całe wieki pośród innych narodów tak zupełną odrębność swoją, jakoteż i religię opartą na przykazaniach Mojżesza. Ta religia zebrana w IV. wieku przed Chrystusem w t. zw. księgach praw, ułożona została później *w talmudzie.*[2]) Życzi wśród społeczeństw utrzymali się w odrębności swojej, łącząc się tylko między sobą przez związki małżeńskie, w które wchodzą bardzo wcześnie, wskutek czego rozmnażają się szybko.

Ale nawet przyjaciele żydów, zastanawiając się nad ich dziwnem życiem i działaniem, zapytują się nieraz szczerze:

— Dlaczego żydzi, żyjąc na naszej polskiej ziemi mówią w tak znacznej liczbie po niemiecku, lub też zepsutym żargonem żydowskim,[3]) noszą niemieckie nazwiska i bardzo często łączą się z Niemcami, dlaczego tacy odmienni, dla nas obojętni i nieszczerzy, jakby się wstydzili tej pięknej polskiej mowy i tej ziemi, która ich zrodziła i żywi, jakby ta polska ziemia nie była ich ojczyzną, a istniała tylko dla ich wyzysku?!

I rzeczywiście działanie i postępowanie ogółu Żydów przedstawia się tak jakby nietylko nie byli Polakami, ale nawet ich wrogami. Zajmują się oni głównie załatwianiem interesów pieniężnych, przemysłem i handlem, wskutek czego zebrali ogromne majątki w swych rękach, ale pośród nich znajduje się także ogromna liczba ubogich Żydów. Ci tocząc walki o warunki życia z ludnością chrześcijańską, często nieszlachetnymi środkami, wyzyskują tę ludność i pozbawiają ją majątków, ziemi, domów.

Dawniej nie wolno było w Galicyi kupować Żydom ziemi, lecz uzyskawszy w roku 1867 pełne prawa obywatelskie, zdołali usunąć ten zakaz. Nabywali też pospiesznie ziemie i już w roku 1890 mieli w swych rękach przeszło

[1]) *Palestyna,* w starożytności: ziemia Chanaan, święty kraj rzeki Jordanu, jestto w Azyi górzysta ziemia, zajmująca część Syryi od gór Antilibanu do morza Martwego; ma rozległości około 500 mil kwadrat.

[2]) *Tolmud* (to znaczy: nauczanie), jest to zbiór podań dotyczących żydowskich praw religijnych i obywatelskich.

[3]) *Żargon,* t. zn.: język zepsuty. Takim żargonem, czyli zepsutym językiem niemieckim albo polskim mówią po większej części Żydzi polscy, chociaż od 8 wieków mieszkają na polskiej ziemi.

atralnej tak licznej, żeby teatr się był mógł utrzymać. Część drobną winy przypisać należy także samej p. Młodziejowskiej, która odrzuciła subwencyę miejską, przyznaną teatrowi polskiemu przez odnośny komitet, a wynoszącą 4.500 rb. rocznie. Jeżeli tu wspominamy o tem, czynimy to dla tego, by uwydatnić różnicę zachodzącą w stosunku miasta do teatru w Wilnie, a n. p. u nas. Czy słyszał kto, żeby w Prusach miasto jakiekolwiek popierało jakąkolwiej instytucyę polską? My też z pewnością nie bylibyśmy tak niepraktyczni, żebyśmy taką subwencyę odrzucić mieli.

W Berlinie sensacyę dnia stanowią wciąż się powtarzające napady nożownicze na kobiety i dziewczęta. Napadów takich wykonano w przeciągu tygodnia 22. Niewiadomo, czy łotrowstwa te popełnia jeden zbrodniarz, czy szaleniec, czy też znalazł naśladowców. Naśladownictwo zbrodni — szczególniej nie wykrytych sprawców — znanym jest w kryminalistyce objawem. U publiczności berlińskiej, szczególniej u kobiet, uwydatnia się skutkiem tych zajść wielkie zaniepokojenie. Dotychczas policya nie wpadła na ślad złoczyńców. Wobec tych zajść należy przypomnieć cały szereg podpaleń, które niepokoiły w minionym roku przez kilka miesięcy mieszkańców Berlina, a wobec czego czujność policyi okazała się bezsilną. Spodziewać się należy, że publiczność sama dołoży ręki do tego, by pochwycić niebezpiecznego zbrodniarza, który z tak strasznem powodzeniem uprawia swój ohydny proceder.

Z wiadomości parlamentarnych zanotować należy, że ukończono drugie czytanie projektów dotyczących lepszego uposażenia urzędników państwowych, nauczycieli i duchownych obu wyznań krajowych. Przyjmując projekt odnośny, przyjęto równocześnie jego paragraf 15-ty, który ogranicza wypłacanie dodatków księżom katolickim w dyecezyach gnieźnieńskiej, poznańskiej i chełmińskiej tylko do tych księży proboszczów, którzy nie występują wrogo przeciw państwu i niemczyźnie. Każdy z nas zna to kauczukowe pojęcie. Jestto więc nowa ustawa wyjątkowa, o której daliśmy już swą opinią, gdy projekt ten w sejmie przedłożono.

W Austryi nowy gabinet, do którego z Polaków należy Dr. Biliński, jako minister skarbu, i Abrahamowicz, jako minister rodak, objął urzędowanie. Prezesem ministrów jest baron Bienerth. Czesi uważają nowe ministerstwo — zasiada w niem tylko jeden Czech, którego się zresztą partye czeskie wypierają, jako wybitnie antyczeskie. Wskutek tego i Koło polskie dostało się w przykre położenie. Wynikły z tego ostre starcia pomiędzy Kołem a ministrem Abrahamowiczem tak, że dymisya tegoż stała się prawdopodobną.

Zatarg pomiędzy Młodoturkami a wielkim wezyrem Kiamilem paszą, jaki wynikł z powodu dymisyi udzielonej ministrom tureckim, uchodzącym za mężów zaufania partyi młodotureckiej, skończył się dla pierwszych pomyślnie, bo ustąpieniem wielkiego wezyra. Wielki wezyr oświadczył w parlamencie, że nie myśli usprawiedliwiać się z tego, co uczynił; wówczas parlament wyraził mu 198 głosami przeciw 8 votum nieufności, poczem Kiamil pasza podał się do dymisyi, którą sułtan przyjął i polecił Hilmi paszy utworzenie nowego gabinetu.

Ustąpieniem wielkiego wezyra zostało zażegnane groźne niebezpieczeństwo, gdyż według dalszych wiadomości groziła Turcyi istotnie rewolucya. Jakie wpływy posiadają Młodoturcy na armię, o tem świadczy wiadomość nadeszła z Solunia o telegramie wysłanym do Carogrodu przez komendanta

---

600 dworów wiejskich. Żydzi usadowiwszy się po szynkach wiejskich, rozpijali chłopów, wyzyskiwali ich, wyzuwali ich z ziemi. Ta wódka, to rozpijanie chłopów, to ich pijaństwo było prawdziwem nieszczęściem Galicyi, było upadkiem kraju. Za długi żydowskie sprzedawały sądy setki gospodarstw chłopskich, setki rodzin wiejskich pozostawały bez dachu i chleba.

Dla Polaków, podnoszących się i wyrabiających, powinna korzyść przynieść wszelka z dziejów nauka. Więc przeciwko wyzyskowi żydowskiemu, powinni pracować z szczególną sumiennością i uczciwością, nie używać niesumiennych faktorów i zabrać się z całym zapałem, nie zważając na natarczywość innoplemienną, nie zniechęcając się nią, do handlu i przemysłu i usiłować go skupić w swych rękach. Powinni Polacy usilnie starać się o oświatę szerokich warstw ludności, ażeby ludność ta wykształcona nie dała się więcej wyzyskiwać nieszlachetnym jednostkom żydowskim, jak to właśnie ma już miejsce za granicą. Powinni Polacy dalej, co jest rzeczą szczególnie ważną, użyć wszelkich możebnych środków, ażeby ta luźna społeczność żydowska zdolna, inteligentna i pracowita, koniecznie w całym ogóle swym uznała się Polakami i pokochała tę ziemię polską, która niczego jej nie skąpi, ażeby jako żywotny czynnik weszła w skład w rdzeń organizmu narodowego polskiego, tak, aby jej zaufać, aby na niej polegać można było.

Bo ta ludność żydowska pomimo wielu zarzutów, ma przecież cenne przymioty, które znowu dla nas wzorem i nauką być powinny. Posiada ona rozum i powagę, jest pilna, pracowita, oszczędna i na małem przestająca, w stosunkach rodzinnych niezwykle zgodna i miłująca się, w obejściu jest bardzo uprzejma, delikatna i miła, w interesach łatwa i zręczna. A wśród społeczności tej znajdują się liczne jednostki przejęte ogromnem poczuciem obywatelskiem i patryotyzmem polskim; jednostki te dla swego kraju ojczystego, za który Polskę od wieków uważają i szczerze ją kochają, nieocenione oddają usługi, a odznaczając ich na różnych polach działalności: pracy społecznej, obywatelskiej, nauki, sztuk pięknych, przemysłu i handlu — są prawdziwą ozdobą całej Polski.

h.) Socyalizm.

Z różnych stronnictw w społeczeństwie polskiem, tak w Galicyi jak i zaborach innych, wielu członków liczy stronnictwo t. zw. *socyalnej* [1]) *demokracyi.* Z szerokich warstw należą tu przeważnie robotnicy przemysłowi; ludność wiejska, nawet bezrolna, mniej łatwo daje się wciągnąć do partyi socyalistycznej, gdyż pragnie ona posiadać na własność ziemię, a socyalizm nie uznaje własności ziemi. Głównem żądaniem i staraniem socyalistów jest wywalczenie sobie nowych korzyści. Żądają oni uzyskania praw politycznych przez zaprowadzenie powszechnego głosowania, ustaw dotyczących ochrony i ubezpieczenia robotników, ośmiogodzinnego dnia roboczego, zniesienia stałej armii, zrównania prawnego kobiet z mężczyznami, uznania religii za sprawę prywatną, bezpłatnej nauki, lekarstw i pomocy prawnej, zaprowadzenia jedynego podatku dochodowego, zniesienia ceł, i innych ustępstw.

Socyaliści wybierają ze swego grona posłów do Rady Państwa. [2])

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) *Socyalny*, t. zn.: społeczny, dotyczący społeczeństwa. *Socyalizm*, (to samo prawie co *komunizm*), chce usunąć różnicę między bogatymi a ubogimi przez zniesienie prywatnej własności a zaprowadzenie w je miejsce własności zbiorowej, wspólnej.

[2]) Encyklopedya lwowskiej Macierzy Polskiej, r. 1907.

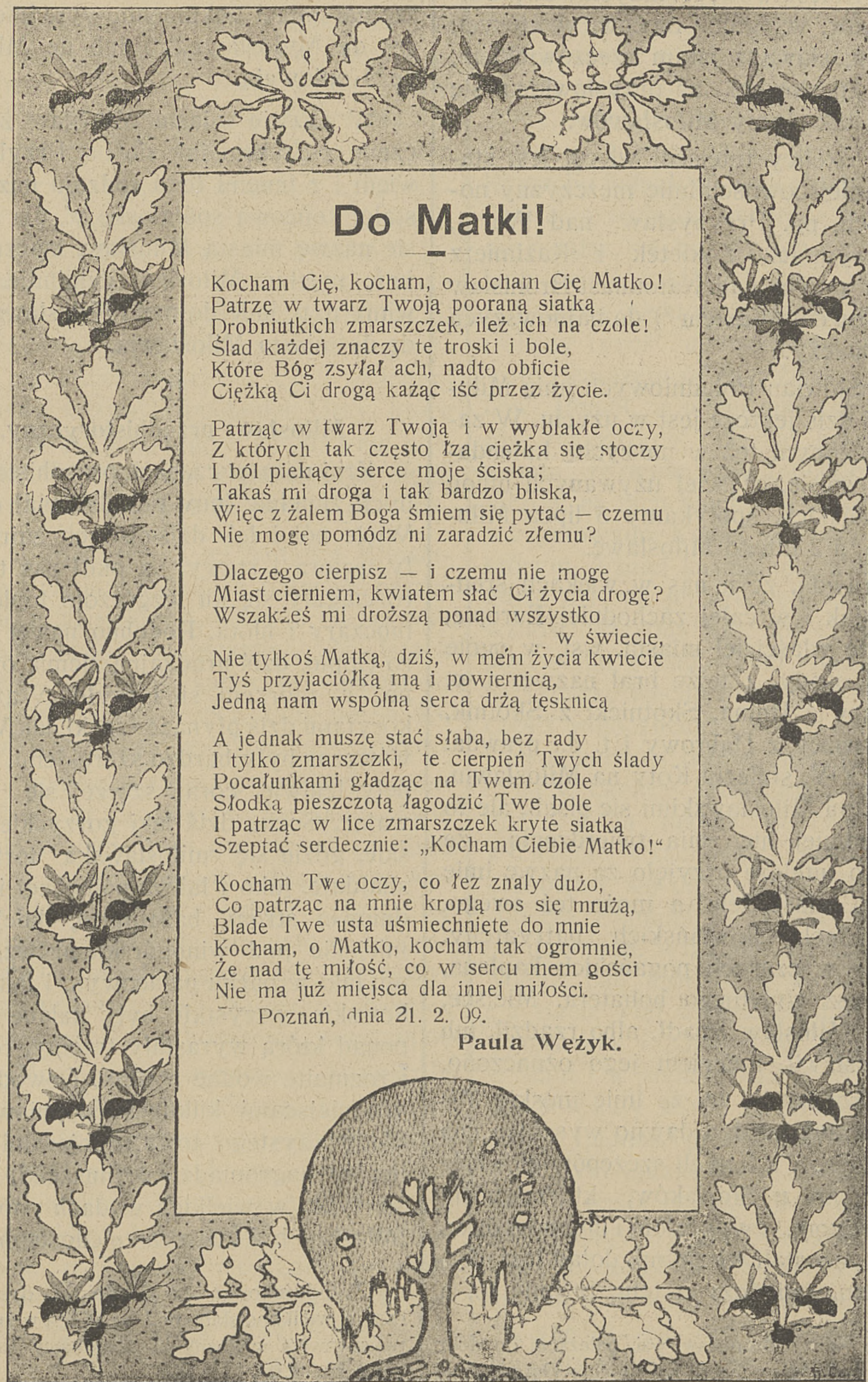
trzeciego korpusu soluńskiego, który groził natychmiastowym pochodem wojsk na Carogród, gdyby Kiamil pasza nie ustąpił dobrowolnie. Równocześnie donoszą, że w Carogrodzie odbyło się zebranie oficerów; na porządku obrad była kwestya przesilenia gabinetowego.

Uspokajające wiadomości nadchodzą z Białogrodu, gdzie rzekomo z powodu energicznego wystąpienia rządu rosyjskiego przeciw prowokacyom serbskim chęć do wojny znika.

Pogłoski o zamierzonem małżeństwie króla portugalskiego Manuela z angielską księżniczką, córką zmarłego księcia kobursko-gotajskiego, coraz natarczywiej się powtarzają w prasie. Już wizytę króla hiszpańskiego także z angielską księżniczką ożenionego, w Portugalii tłumaczono głównie matrymonialnemi zamiarami króla Manuela. Widoki te zyskały na prawdopodobieństwie, gdyż król zamierza być na balu ambasady angielskiej. Także eskadra angielska odwiedzi oficyalnie porty portugalskie. Wszystko to zdaje się wskazywać na ściślejsze zbliżenie się angielsko-portugalskie. Związek małżeński króla Manuela z angielską księżniczką byłby nowym sukcesem polityki króla Edwarda.

Nie patrz, gdy chcesz hart duszy człowieka wywróżyć,
Jak umie rozkazywać, lecz jak umie służyć;
A jeśli jego siły masz wyrok ogłosić,
Nie waż, co umie łamać, lecz co umie znosić.

Józef Kościelski.



Do Matki!

Kocham Cię, kocham, o kocham Cię Matko!
Patrzę w twarz Twoją pooraną siatką
Drobniutkich zmarszczek, ileż ich na czole!
Ślad każdej znaczy te troski i bole,
Które Bóg zsyłał ach, nadto obficie
Ciężką Ci drogą każąc iść przez życie.

Patrząc w twarz Twoją i w wyblakłe oczy,
Z których tak często łza ciężka się stoczy
I ból piekący serce moje ściska;
Takaś mi droga i tak bardzo bliska,
Więc z żalem Boga śmiem się pytać — czemu
Nie mogę pomódz ni zaradzić złemu?

Dlaczego cierpisz — i czemu nie mogę
Miast cierniem, kwiatem słać Ci życia drogę?
Wszakżeś mi droższą ponad wszystko
w świecie,
Nie tylkoś Matką, dziś, w mem życia kwiecie
Tyś przyjaciółką mą i powiernicą,
Jedną nam wspólną serca drżą tęsknicą

A jednak muszę stać słaba, bez rady
I tylko zmarszczki, te cierpień Twych ślady
Pocałunkami gładząc na Twem czole
Słodką pieszczotą łagodzić Twe bole
I patrząc w lice zmarszczek kryte siatką
Szeptać serdecznie: „Kocham Ciebie Matko!“

Kocham Twe oczy, co łez znały dużo,
Co patrząc na mnie kroplą ros się mrużą,
Blade Twe usta uśmiechnięte do mnie
Kocham, o Matko, kocham tak ogromnie,
Że nad tę miłość, co w sercu mem gości
Nie ma już miejsca dla innej miłości.

Poznań, dnia 21. 2. 09.

Paula Wężyk.



Przegląd prasy.

Oburzenie z powodu nieobecności 7 posłów na głosowaniu w sprawie reformy wyborczej w Prusach wciąż jeszcze się uwydatnia w rozmaitych korespondencyach, nadsyłanych poszczególnym gazetom polskim. Szczególnie na G. Śląsku, gdzie lud przyzwyczajony jest widzieć pozytywną pracę ze strony swych przywódców, niepojętą się wydaje opieszałość tych posłów, którzy się do upadku własnego wniosku przyczynili. W korespondencyi z kół robotniczych, przesłanej do *„Górnoślązaka“*, wspomina autor (robotnik z Sierakowic) posłom polskim, że to nie pierwszy raz się zdarza, że się na głosowanie ważne nie stawili. Robotnicy zaś, głosując na posłów swoich, nie mają tak wygodnie, jak oni, a jednak się od obowiązku narodowego nie cofają tylko oddają swój głos na Polaka mimo szykan i nagabywań najrozmaitszych, mimo strat materyalnych i ostrego prześladowania. — Więc domaga się ów robotnik kary na opieszałych posłów i tak pisze:

„Za to niedbalstwo owi posłowie powinni być ukarani. Odzywam się więc do Komitetu Wyborczego, aby na przyszłe wybory nam tych 7 posłów nie polecał, bo nie zasługują, aby ich obdarzyć ponownie mandatami. Oburzenie na tych posłów jest obecnie tak wielkie, że lud prawdopodobnie nie usłuchałby rozporządzenia Komitetu Wyborczego, gdyby na nich miał ponownie głosować.

„A szanowny poseł Korfanty? On jeno pierwszy i drugi rok za nami się bardzo dobrze ujmował i wszystkie nasze krzywdy rządowi przedstawiał, za to mu dziękuję. Ale teraz już tak nie czyni, i umilkł. A przeciwnicy nasi mówią: to macie waszego posła Korfantego! Były narady nad podwyższeniem myta wszystkim urzędnikom, o robotnikach było cicho, a osobliwie niższych robotnikach, naprzykład: ciskaczach: oni mają miejscami cięższą pracę niż ci górnicy, co węgle kopią, a mają 2 i 3 marki mniej od nich.“

Również w *„Dzienniku Berl.“* ostre znachodzimy głosy w sprawie powyższej. Pisze tam p. Józef Matura z Orzegowa pomiędzy innemi, ca następuje:

„Szan. Rodacy, jak to z bólem serca trzeba słuchać i krew w żyłach się ścina, gdy się czyta o gospodarce panującej w Kole polskiem i o niedbalstwie niektórych naszych pp. posłów, tem bardziej, gdy uprzytomnimy sobie te różne walki zacięte z wrogami naszymi przy jawnych wyborach do sejmu, te różne szykany i prześladowa-

nia ze strony naszych urzędników górniczych i kapitalistów. Niejeden już z naszych stracili chleb dla siebie i rodziny z powodu wyborów sejmowych. Wniosek o ich zniesienie byłby przeszedł, gdyby nie fakt, że aż 7 posłów było nieobecnych na tem posiedzeniu. Zawdzięczamy też jedynie naszej gazecie i „Dziennikowi Berlińskiemu“, że napisał prawdę, bo świat nie byłby o nich nic wiedział. A „Polak“ i „Kuryer Śląski“ milczą jak zaklęte, ponieważ to jest własny organ posła p. Korfantego, który także nie był na owem posiedzeniu.“

Również fakt, że z posłów polskich, z jedynym wyjątkiem posła Kulerskiego, nikt nie przybył na kongres górniczy w Berlinie ani też na zebranie górników polskich, budzi w kołach górników niezadowolenie.

* * *

W sprawie posła robotnika czytamy w *„Wiarusie Polskim“:*

„Kto szczerze pragnie, żeby robotnik wszedł do Koła Polskiego, powinien sprawę tę nieustannie przypominać społeczeństwu, powinien zwłaszcza czynnikom decydującym wykazać, jak wielkie znaczenie dla sprawy narodowej miałby wybór robotnika a przedewszystkiem trzeba się zgodzić na jednego kandydata, żeby nikt nie mógł powiedzieć: „Jakże mamy wybierać robotnika, kiedy jedni chcą Gawła a drudzy Pawła. Wybierając jednego, zrazimy zwolenników drugiego i zamiast pożytku, będzie rozdwojenie.“

„To jest najczęściej powtarzamy zarzut przeciw wyborowi robotnika.

„Tylko godząc się na jednego kandydata mogą robotnicy cel swój osiągnąć. Niech kandydatem będzie ten, który się pierwszy dostał na listę kandydacką i któremu opinia nie odmawia kwalifikacyi poselskich. Około jego nazwiska niech się skupią wszyscy robotnicy, skoro gdziekolwiek z jakiegobądź powodu zawakuje mandat poselski, a nie ulega prawie wątpliwości, że zgodnemu żądaniu robotników stanie się zadość.

„Koło Polskie przywita kolegę robotnika z serdeczną życzliwością i pracę ułatwiać mu będzie!“

To jest również nasze zdanie. Nie czas agitować, gdy wybory za pasem, lecz zawczasu należy grunt odpowiednio przygotować. Także wyliczenie przed samemi wyborami tuzina nazwisk kandydackich, sprawy naprzód nie popycha.

Kto dobrowolnie lepsze swe natchnienia,
Wyda na pastwę przechodniów grabieży:
Temu zabraknąć może sił zasobu,
Aby z godnością dojść później do grobu.
Adam Asnyk.

* * *

Życie nie mierzy się sumą uzyskanego przez nie osobistego dobra, ale wysokością celów do których zmierza.



Materyały do historyi Miłosławia i okolicy.

Zestawił
Filip Skoraczewski,
honorowy obywatel miasta Miłosławia.

I.
Nazwa Miłosław.

Miłosław jest słowiańskiem imieniem mężczyzny, dosyć często w czasach piastowskich, a rzadko już w czasach jagiellońskich w Polsce używanem. W spisie lubińskich zakonników kilku spotykamy Miłosławów. Jak mamy Bronisławów, czyli mężów, co sławy bronią, jak dalej mamy Mieczysławów, Bolesławów, Władysławów, Stanisławów, w ogóle mężów, w których imieniu, sława z jakim rzeczownikiem, z jakiem słowem, lub przysłówkiem się łączy, tak mamy Miłosławów.

W okolicy tutejszej więcej jest starych miejscowości, imię mężczyzny noszących, np. Przybysław nad Wartą, w którym już Łokietek i Kazimierz Wielki przebywali. Natomiast Bronisław pod Nowem Miastem [1]) do najnowszych osad należy.

U Słowian Południowych imię Miłosław i dziś jeszcze jest w użyciu. W zamieszczonym też w naszych kalendarzach spisie, częściej używanych imion słowiańskich, spotykamy 3 lipca Miłosława, a 2 lutego Miłosławę.

Prawda, że u nas w wiekach średnich, jak i w całej zachodniej Europie, zwykle właściciel miasta, wsi, w ogóle jakiej osady, z tejże brał nazwę, n. p. Bnińscy z Bnina, Skotnicki z Skotnik, Dąbrowscy z Dąbrowy i t. d., prawda, że w XIV. stuleciu Koty na Miłosławiu, hrabiami Miłosławskimi się pisali, ale to bynajmniej nie zbija twierdzenia, że miasto tutejsze przyjęło za nazwę imię swego właściciela, a może też swego, w czasach słowiańskich patryarchy, swego w czasach pogańskich kapłana, albo też wybitnego bohatera. Miejsce, gdzie Miłosław osiadł, albo rządził, lub się wsławił, imieniem jego oznaczono.

Okoliczność ta, że imię męskie Miłosław już bardzo dawno wyszło u nas z użycia, a u innych szczepów słowiańskich, np. u Słowaków, którzy wielu tradycyom, zwyczajom i imionom dawnym pozostali wiernymi, dotąd jest używanem, świadczy o tem, iż imię to, a zarazem miasta naszego, odnosi się do czasów, kiedy się szczep lechicki z Słowiańszczyzny nie wydzielił; świadczy o tem, że nazwa naszego miasteczka, a więc i miasteczko samo, w przedhistorycznych powstały czasach.

Akta urzędu wójtowskiego i burmistrzowskiego, spisywane niezawsze przez sekretarzy, którzy się o ortografią troszczyli, błędnie czasami miasteczko nasze „Miełosławem“ mianują. Starsze natomiast dokumenta wyraźnie „heres de Myloslawe,“ [2]) lub de Miloslave [3]) opiewają.

W nazwie miasta Miłosław zmiękczono z czasem jak się i z Przybysławiem i z innemi tego rodzaju nazwami stało, końcową spółgłoskę w, dla czego się nazwę miasta Miłosław, inaczej jak imię męzkie Miłosław deklinuje. Mówimy n. p. jadę do pana Miłosława i jadę do miasta Miłosławia.

II.
Miłosław przedhistoryczny.

Kraj nasz w czasach przedhistorycznych zupełnie inny przedstawiał obraz. Wiele pól i łąk dzisiejszych zajmowały jeziora i stawy, na okół zaś tychże rozciągały się ku wzgórzom topieliska, moczary i błota. Podobno nawet jezioro Gopło, dziś urodzajną ziemią otoczone, z morzem się łączyło. Wązkiemi korytami dziś płynące rzeki, jak Warta, wówczas były bardzo szerokiemi, a płynęły leniwie, coraz szerzej się rozlewając. Suche dziś łąki gorzyckie i lipskie, gdzie się miłosławska torfiarnia znajduje, jako i łąki z północnej i południowej strony bażantarni, dalej, łąki miejskie pod winogórskiemi wzgórzami, łąki w parku pałacowym i łąki piątkowskie, wszystkie były zalane wodą, ponad którą wyrastały trzciny, rogózia i rozmaite wodne rośliny. Dowodzą tego miejscami kilkunastostopniowe pokłady czystego torfu, miejscami znów licznie nagromadzone muszelki, jakie się tylko w wielkich wodach napotyka. Miłosław był wówczas niedostępną mię-

---

[1]) Nazwa Bronisław, wsi, należącej do dóbr winogórskich, pochodzi od imienia Dąbrowskiego, syna jenerała Henryka Dąbrowskiego.

[2]) Oddrukowany w Kodeksie dyplomatycznym wielkopolskim pod nr. 971, a w archiwum państwowem w Poznaniu znajdujący się dokument z r. 1314.

[3]) To samo źródło nr. 1000 z r. 1314.

dzy wodami wyspą, na której bujno wyrastały drzewą. Wyspa ta urodzajnością swoją a jeszcze bardziej swem obronnem położeniem wabić musiała szukających siedziby. To też wnet na wzgórzach, na których się dziś Miłosław wznosi jako i na wzgórzu bugajskiem i ku Kozubcowi krzemienne i granitowe siekiery powaliły drzewa, wnet się na miejscach lasów zboża rozrosły, a ludność szybko się rozmnażała; może w przedhistorycznych czasach liczniejszą nawet była niż dziś, ile wnosić można z nader licznych cmentarzysk. Nie ma tu bowiem prawie ani jednego wzgórza, w któremby się urny z popiołami naszych pradziadów nie znajdowały. Wykopywano je tu w ogrodzie pałacowym, na polach proboszczowskich, ku bażantarni, a zwłaszcza ku Kozubcowi. Gdy przed kilkunastu laty drogę bugajsko-kozubiecką okopywano, liczne napotkano popielnice, tak samo przy poszukiwaniu kamieni na południowo-wschodniej stronie Bugaju, a w roku 1895 przy regulowaniu ziemi pod szkółkę leśną także dobywano urny. Wielką ich ilość mieściło w sobie wzgórze, między Kozubcem a Glinkami się wznoszące, a uryańską, czyli aryańską górą zwane. O Aryanach jednak, jakkolwiek, sekta ta w Polsce zygmuntowskiej dosyć się rozmnożyła, w Miłosławiu ani śladu znaleźć nie można, a przecież od Aryów czyli Indogermanów nazwa ta pochodzi. Urny, które się jeszcze znajdują w ziemi, wnet wyginą, bo dzisiejsza głęboka órka sięga do nich i rozbija je na drobne skorupy.

O pracowitości tej ludności Miłosławia i okolicy świadczą rozmaite narzędzia n. p. siekierki, jakie tu nieraz wygrzebywano. W ostatnich 25 latach cztery tu z epoki kamiennej znaleziono siekierki. Jednę z nich kupił po śp. ks. proboszczu Tułodzieckim pan Grabowski, połowę drugiej, granitowej, posiadał śp. dr. Koehler w Poznaniu, dwie inne, krzemienna i granitowa, znajdują się w muzeum miłosławskiem pana Kościelskiego. Bogatą jednak zdaje się ludność ta nie była, bo mało w jej osadach i grobach znajdujemy zbytkownych przedmiotów. Zwrócę tu przecież uwagę na piękne bronzowe, przezemnie do Muzeum Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu oddane ramienniki. Okruchów bronzowych, ogniem zniszczonych, wiele się tu w popielnicach znachodziło. W tak zwanym „okopie szwedzkim“, który przed 50 laty w Pałczynie rozkopano, napotkano rozmaite ozdoby srebrne, coby wszakże dowodziło, iż okop ten, a raczej kopiec wielki, choć nie z szwedzkich, ale z późniejszych czasów, jak epoka bronzowa, pochodził. Starożytności te powędrowały do jakiegoś zbioru w Berlinie.

Okopów takich, czy szańców jest tu więcej. Na łąkach piątkowskich, w dawniejszym stawie piątkowskim, znacznie już woda taki kopiec spłókała, ale na łące kębłowskiej, Smogorzewem zwanej i w górach gorzyckich kopce te jeszcze całkowicie są zachowane. Że miano „szwedzkich“, jakiem lud nasz zwykł w całej Polsce kopce takie obdarzać, niczem nie jest uprawnione, stwierdzono niejednokrotnie, a i miłosławskie okopy szwedzkie wyjątku tu bynajmniej nie stanowią i one z pogańskich niewątpliwie pochodzą czasów. Czy jednak były one kopcami granicznemi opoli, czy też zwyczajem pogańskich słowian w państwową jakoby całość połączonych rodzin, czy były miejscami świętemi, na których bogom wznoszono ofiary i wiece odbywano, czy może od nich to pomosty budowli nawodnych rozchodziły się kiedyś, czy wreszcie wodą otoczone rzeczywiście za schroniska naszym tylko w łuki, dzidy, topory i proce uzbrojonym naddziadom służyły, nie mogę decydować. Raczejby jednak do tych ostatnich możliwości przechylić się wypadało, przypuszczając, że broniły ich one od dzikich zwierząt, których tutaj, jak to dotąd nazwy niektórych części lasu n. p. „wilczy rynek“ udowodniają, wiele bywało i zarazem od łupieżców i najeźdźców. Popiół, a miejscami resztki gnatów rozmaitych zwierząt przemawiają za tem, że ognie, prawdopodobnie ognie ofiarne na nich palono, a może i potrawy gotowano. Kopiec w Biechowie, na którym później kasztelanią zbudowano, gdzie dziś na jej gruzach wiatrak się wznosi, złączony był, co stwierdzono, pomostami z budowlami nadwodnemi, na jeziorze biechockiem dziś jeszcze w części widocznemi. I więcej śladów takich pomostów palowych czyli nawodnych w okolicy Miłosławia napotykamy, n. p. na łąkach gorzyckich, a ze wschodniej i zachodniej strony miasta zachowały się do połowy przeszłego stulecia. Pomniki to czasów niesłychanie dawnych. Wiadomo, że budowle nawodne, nad któremi w środku jeziór i w ogóle wód większych dachy nawet wznoszono, kładziono na powbijanych w ślam i w ziemię palach. W ten sposób powstały wśród jeziór domy i całe osady. Ludność przebywała przeważnie na stałym lądzie, bo tu uprawiała ziemię, tu pasła bydło, tu w części już miała domy i zagrody i tylko w razie niebezpieczeństwa chroniła się z inwentarzem, z żywnością i sprzętami na wodę, unosząc za sobą do środka wody pomosty. Rozumie się samo przez się, iż w zimie, gdy wody zamarzły, budowle palowe wiele traciły na znaczeniu, ale wówczas rzadsze były napady, a przeciw wilkom itd. broniono się obrębowaniem lodu na okół nawodnej osady, bezustannem, zwłaszcza w nocy, paleniem ognisk i bezustannem strażowaniem.

Ostatnie tuż przy Miłosławiu leżące pomosty nadwodne, po których się w ubiegłem stuleciu przez wodę przechodziło, zwano ławami. Ławy zachodnie łączyły miasto z przedmieściem Maciejowem. Wychodziły one ze wzgórz żwirowych na Maciejewie, a dochodziły do przedmieścia, dziś Pacanowem zwanego. Ławy bugajskie straciły dopiero po osuszeniu Śto. Pawelskiego stawu racyę bytu. Łączyły one, od żydowskiego cmentarza począwszy, domy mieszkalne robotników dominialnych z właściwym folwarkiem, dziś Bugajem zwanym. Przed pięćdziesięciu bowiem laty nie było jeszcze 8 pięknych czworaków ku Kozubcowi, a wszystkie domy robotnicze stały ku cmentarzowi żydowskiemu, „za ławami,“ gdzie dziś tylko jeden dom mieszkalny pozostał. Gdy osada z „za ław“ przed napaścią uchodziła, znajdowała w „Bożym Gaju“ bezpieczne, jak w twierdzy schronienie. To też zbudowano tu pogańską świątynię, tu odbywały się wiece i sądy. Miejsce dawno zniklej świątyni pogańskiej zajął na początku 17 stulecia kościół katolicki św. Pawła, który doczekał się ledwie początku XIX. wieku, jak to obszerniej w swojem miejscu wykażemy. Bliższą do miasta należącą część, gdzie świątynia stała, zwano przedmieściem Piaskami, resztę Bożego Gaju zajął folwark pański, żadnej pierwej nie noszący nazwy. Późniejsza nazwa Bugaj powstała z dawnego Bożego Gaju, który w tradycyi nie zaginął, choć dziś mało kto myśli, co Bugaj oznacza. Wodę, Bugaj okalającą, ujęto w rowy i do pałacowego spuszczono ogrodu i dziś kilka tylko jeszcze olbrzymich lip, drzew dawnym Słowianom miłych, pozostało jedyną pamiątką „Bożego Gaju.“

Z czasem w ogóle budowle nawodne stały się niepotrzebnemi, a mianowicie gdy ludność w większą się już na wolnem miejscu zebrała gromadę, gdy trwalsze sobie pobudowała mieszkania, lepiej się na odparcie z bronią w ręku zakusów zaborczych przysposobiła i ściślej zorganizowała.

Z zbytecznych już osad nawodnych zdjęto wierzchnie tylko pokłady. Wbitych w ziemię słupów wydobywać się nie opłacało. Długie też setki lat sterczały one w wodzie ku utrapieniu rybaków, dopóki nie ugniły, lub ich po obniżeniu wody biedni ludzie nie powydobywali. Kiedy jezioro biechowskie przed 50 laty przy niskiej wodzie za-

marzło i naraz wielka woda nadeszła, z podniesionym w górę lodem wmarzłe weń słupy z ziemi wyrwała. Ostatnie pozostały tylko u brzegu, od strony kasztelanii, gdzie już dawno woda zginęła i gdzie nad niemi darń porosła.

Powoli, kiedy nikt już nie myślał o zakładaniu nowych siedzib nawodnych, ludności, coraz bardziej się mnożącej, coraz więcej dawał się odczuwać brak ziemi ornej; by się wyżywić, trzeba było myśleć o wydzieraniu jej wodzie. Z pewnością więc jeszcze za czasów pogańskich zaczęto na okół Miłosławia bić rowy i do Warty spuszczać niepotrzebne wody. Rowy bito stosunkowo głębokie, ale najgłębszym musiano wykopać rów, wodę z pól gorzyckich i z łąk gorzyckich a równocześnie i od jeziora biechowskiego odprowadzający. W ten sposób powstała rzeczka Szywra, dziś Miłosławką a po niemiecku „Miloslawer Fliess“ zwana. Mały to rów przerzynający ulicę wrzesińską, za rzezalnią, ale niech tylko po śnieżnej zimie nastanie odwilż, a rów staje się dawną Szywrą, z którą żartować nie można. Ot niedalej, jak przed 30 laty rozerwała Szywra kluczborsko-poznańską kolej żelazną.

Nietylko przecież kopanie rowów należy odnieść do zarania dziejów Polski, niemniej staremi są z pewnością groble, choćby dla tego samego, że trzeba było osadę na niedostępnej prawie wyspie połączyć z światem. Tak więc komunikacya na poprzek wspomnianych rowów stawała się coraz bardziej uciążliwą. W celu ułatwienia jej z okolicą, sypano na poprzek rowów olbrzymie groble. Ciężką i zmudną być musiała ta praca kulturna naszych przodków, zwłaszcza wobec współczesnych sposobów przewozu ziemi. Tysiące sześciościennych metrów piasku musiano zwozić z sąsiednich wzgórz, ale pod ciężarem grobli rozstępował się rzadki muł i błoto, grobla tonęła i trzeba było na nowo budować. Powiększany ciężar w głębsze wpuszczał się warstwy rozmiękłej ziemi i powtarzało się to samo, aż wytrwałość ludzka dopięła swego celu i dzieło swe utrwaliła. Grobli takich mamy wiele na okół Miłosławia. W ten to sposób powstały następujące stawy:

1) Wielki, na południowej stronie dzisiejszej bażantarni, aż pod cmentarz żydowski i przechodzącą przy nim drogę a raczej groblę.

2) Szamrówka, dziś szemerówką zwana, aż pod groblę, po której się ku Rudkom jedzie.

3) Święto Pawelski, gdzie dziś łąka przy Bugaju.

4) Nowy, dziś Młynkiem zwany, a raczej trzy stawy jeden nad drugim.

5) Piątkowski, dziś łąka piątkowska, pod winogórskiemi górami, a wyżej łąka bugajska aż pod drogę, czyli groblę z Białego Piątkowa do Winogóry prowadzącą.

6) Brykczego, gdzie dziś łąka borowego z Maciejewa, na południowej stronie osady oprawcy.

Staw w ogrodzie pałacowym i nieistniejący już staw zimowy, gdzie dziś wśród pól miejskich kapuśniki do Dominium należące, późniejszego są pochodzenia więc je tu pomijamy.

Zamknięte w ten sposób groblami wody służyły do pędzenia prymitywnych przedsiębiorstw przemysłowych. W archiwach miejskich, których akta, niestety, po za XVI. wiek nie sięgają, trzy w owem stuleciu napotykamy młyny: młyn przy „nowym stawku“ czyli „młynku“, młyn Brykczego i młyn piątkowski na grobli piątkowskiej. Rozumie się że w usypanych groblach porządzano upusty i mnichy, by odpowiednio do potrzeby wysokość wody regulować. Nad „nowym stawkiem“ czyli „młynkiem“, dwa jeszcze na dzisiejszej łące, Smogorzewie, znajdowały się rezerwowe stawy. Dysponujący więc wodą z trzech stawów młynarz mógł długo w lecie, nawet podczas posuchy, ludność w mąkę zaopatrywać. W stawach tych hodowali zachowujący ściśle posty pradziadowie wiele ryb najrozmaitszych, a i przytem upusty, w groblach porządzane, pomocnemi im były.

W najdawniejszych jednak czasach groble na okół Miłosławia nie tyle przemysłowi ile przedewszystkiem, jak na to już wyżej położyliśmy nacisk, komunikacyi służyły. Tu zresztą dziś jeszcze grobla przy Szemerówce ku Rudkom, grobla za żydowskim cmentarzem ku bażantarni, grobla między Białem Piątkowem, a Winnogórą i inne groble za drogi służą. Bez nich komunikacya z nazwanemi miejscowościami byłaby i dziś jeszcze bardzo utrudnioną, czasami prawie nawet niemożebną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Każda dusza ludzka pragnie posiąść inną duszę, a człowiek samotny w samolubstwie, jest tak różny od człowieka spotęgowanego miłością, jak proszek pierwotny od słońca zapalonego miłością atomów.

Wojciech Dzieduszycki.

* * *

Złotnik w cichości tysiączne kształtuje klejnoty, u kowala pełno huku a roboty na szóstak; tak jednego ciche sprawy zacniejsze bywają nad drugiego, co w zakręcie siła rzekomo robi.

Andrzej Max. Fredro.



Dyonizy Królikowski.

Rzemiosło i jego organizacye.

(Ciąg dalszy.)

W ocenieniu znaczenia, jakie posiada rzemiosło, należy dalej uprzytomnić sobie, że maszyna bynajmniej nie jest tak niebezpiecznym jego wrogiem jak powszechnie się sądzi. Są rzemiosła, w których maszyny nie dadzą się nigdy zastosować, jak np. przemysł budowlany. Dziś budują tak jak w starożytności, łącząc ze sobą kamienie lub cegły za pomocą cementu, wapna itp.

Nigdy nie zginą rzemiosła jak piekarstwo, rzeźnictwo, szklarstwo, cukiernictwo, kuśnierstwo, malarstwo i fotografowie, kowale, kominiarze, stolarze, fryzyerzy itd. itd., praca ich bowiem wyklucza możliwość użycia maszyny.

Nie trzeba także zapominać, że postęp techniczny i wynalazki nie służą wyłącznie fabrykom i wielkiemu przemysłowi; przeciwnie, maszyny i wynalazki niejedno rzemiosło podniosły, a tendencya objawiająca się w dziedzinie wynalazków zmniejszania rozmiarów maszyny, w konstruowaniu maszyn małych, aby zbyt ich rozszerzyć, pomaga rzemieślnikowi i umożliwia mu wprowadzenie maszyny, tego mniemanego wroga swej egzystencyi do warsztatu. Udoskonalenie techniczne maszyn sprawia też, iż rzemiosła dzisiaj specyalizują się, co działo się także w wiekach średnich, w czasie rozkwitu rzemiosła. Rzemieślnik posiadający maszynę i wyrabiający tylko jeden rodzaj przedmiotu, nabierając przez to większej wprawy, łatwiej może podejmować się walki z fabrykacyą.

To też Ritter w dziele swojem „Das Kleingewerbe und dessen volkswirtschaftl. Bedeutung“, opierając się na statystyce, twierdzi, że jednocześnie z wielkim przemysłem rozwija się przemysł drobny, zatrudniający wciąż jeszcze nieomal połowę sił pracujących w przemyśle.

Bardzo ważnym jest także szczegół, że drobny przemysł prowadzi do wielkiego przemysłu, że najzdrowszą w danych warunkach podstawę ma zwykle takie przedsiębiorstwo fabryczne, które powstaje z warsztatu.

Z powyższego wynika, że o upadku rzemiosła wogóle lub o jego zaniku zupełnem i zastąpieniu fabrykacyą absolutnie mówić nie można.

Nie można mówić najpierw dla

tego, że jest cały szereg rzemiosł, które z natury rzeczy zawsze istnieć będą, powtóre, że wynalazki w przyszłości i prowdopodobne udoskonalenia w konstrukcyi rzemiosłu samemu wyjść mogą na pożytek, dalej, że mogą w przyszłości powstać już to przez specyalizowanie, już to z innych przyczyn całkiem nowe rzemiosła i w końcu, że rzemiosło należycie zorganizowane w spółkach, może w walce z fabrykacyą uzyskać silniejsze aniżeli dotychczas poparcie kapitału.

Rzemiosło ma więc przyszłość przed sobą i ma racyę bytu, to też warto zastanowić się nad tem, jak jego rozwój zapewnić i ułatwić, a można to uczynić tylko wówczas, gdy warunki egzystencyi i rozwoju jego zbadamy.

Dla zrozumienia obecnego stanu kwestyi rzemieślniczej, konieczną jest w pierwszym rzędzie znajomość historyi rzemiosła, streszczająca się w historyi jego organizacyi cechowej; dalej obecne ustawodawstwo procederowe i akcye zbiorowe rzemieślników, manifestujące się w spółkach różnego rodzaju i w zawodowych związkach pracodawców.

* * *

Organizacya rzemiosła mogła tylko tam powstać, gdzie rzemieślnik posiadał pewną niezależność. Organizacyi takich nie było w wiejskich dworach bogatego Rzymianina ze swą armią niewolników, wykonujących wszystkie rzemiosła, ani też na dworze średniowiecznego barona z jego poddanymi. Organizacye rzemieślników istniały jednakowoż w czasach bardzo odległych, tam gdzie istniały miasta, posiadające inne organizacye miejskie i zdaje się nie ulegać wątpliwości, że organizacya rzemiosł w średnich wiekach miała z niemi związek organiczny. Warunkiem takiej organizacyi była produkcya przy pomocy własnych surowców i narzędzi. Gdy te warunki rzemieślnicy zdobyli, powstaje wśród rzemieślników jednego zawodu, celem wzajemnej pomocy i obrony, pewien rodzaj assocyacyi, tworzą się owe cechy, które tak ważną w historyi gospodarskiej a nawet politycznej odegrały rolę.

Organizacye cechowe według Gida zastępowały dawniejsze stowarzyszenia, naturalną rodzinę i przymusowe niewolnictwo i były ich nową formą. Nowym i ważnym postępem był w cechach podział pracy w formie zróżniczkowania rzemiosł.

Podziałem pracy, posuniętym do jeszcze wyższego szczeblu, był późniejszy przemysł fabryczny, gdzie czynność robotnika przy pomocy maszyny jeszcze mniej jest skomplikowaną.

W Europie środkowej, po wędrówce ludów, powstawały zaczątki organizacyi państwowych, na czele których stawał książe lub jego namiestnik; przy dworach tych książąt powstawały miasta i w nich rzemiosła. Równocześnie powstawały miasta przy siedliskach klasztorów; tu i tam poczęły się rozwijać równolegle rękodzieła. Rzemieślnicy wyrabiali zrazu przedmioty dla swych panów, później robili dla innych; przedmioty te sprzedawali panowie przez swoich kramarzy na targach, które poczęły odbywać się co kwartał, później co tydzień. W miastach tych powstały najpierw organizacye miejskie, po nich nastąpiła organizacya rzemieślników i wówczas powstały cechy.

Rzemieślnicy zorganizowawszy się w cechy, poczuli siłę, jaką daje interes wspólny, nietrudno im było o porozumienie, bo mieszkali razem, i o działanie zbiorowe, które z biegiem czasu doprowadziło do wywalczenia sobie zupełnej niezależności. Działo się to już w XII w. Ciężką walkę musieli zaraz na początek stoczyć rzemieślnicy z patrycyuszami, potomkami dworzan i krwawo one rozegrały się w Europie środkowej i południowej. Tysiące rzemieślników palono na stosach i ścinano.

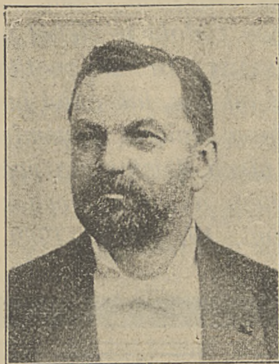
(Ciąg dalszy nastąpi.)



Z żałobnej karty.

Ś. p. Erazm Jerzmanowski.

W Prokocimie pod Krakowem zmarł Erazm Józef Dołęga Jerzmanowski. Zmarły, urodził się w r. 1844 w Tomisławicach w Kaliskiem, był synem właściciela tego majątku i Franciszki z Kossowskich. — Ukończył gimnazyum gubernialne we Warszawie; na politechnikę uczęszczał w Puławach. Po wybuchu powstania styczniowego pospieszył do szeregów i służył w oddziale Langiewicza. Po przybyciu do Galicyi oddziałów, uwięziono Jerzmanowskiego i osadzono w twierdzy ołomunieckiej. Wypuszczony na wolność, udał się do Francyi, gdzie uczęszczał do fachowej szkoły w Montparnasse, a następnie do szkoły inżynierów w Metzu.



† Erazm Jerzmanowski.

Ukończywszy studya, pracował czas krótki we Francyi, skąd podążył do Ameryki. Tam okazał wybitne zdolności jako przedsiębiorca; w dziedzinie gazowego oświetlenia zrobił kilka wynalazków, które zjednały mu uznanie. Zdolnościami, energią, pracowitością zdobył stanowisko wiceprezesa, a następnie prezesa jednej z najpotężniejszych kompanii gazowych w Nowym Jorku.

Na tem stanowisku pozostał szereg lat; okazując się znakomitym kierownikiem instytucyi. Biorąc udział w finansowych przedsiębiorstwach, dorobił się też znacznego majątku. Nie zasklepiał się wszakże w pracy fachowej. Rozwinął szerszą działalność, która zjednała mu poważanie tamtejszego obywatelstwa, a zarazem niezwykły szacunek. W czasie pobytu w Nowym Jorku dom Jerzmanowskiego był polskiem ogniskiem; gromadzili się w nim przebywający w Ameryce rodacy; stamtąd płynęła hojna pomoc dla rozbitków, których los wygnał z ojczyzny. W Nowym Jorkų zbudował ś. p. Jerzmanowski kościół katolicki, za co otrzymał order papieski.

Jerzmanowski nie myślał na stałe zostać w Ameryce. Otwarcie mówił, że przyjechał zebrać majątek, aby potem powrócić do ojczyzny... aby jej służyć w miarę sił, i znaleść grób wśród swoich. — Z Ameryki często przyjeżdżał do Krakowa. Przyłożył wtedy rękę do organizacyi galicyjskiego Towarzystwa Szkoły Ludowej, poparłszy je nadto znacznym datkiem.

Przed laty 15-tu spełnił swoje pragnienie: powrócił do kraju ojczystego. Pragnął osiedlić się najbliżej ulubionego Krakowa; wybrał Prokocim i tutaj urządził dla siebie siedzibę wielkopańską.

Stąd jeździł prawie co dzień do Krakowa, interesując się sprawami ogółu. Znaną jest jego pomoc dla Banku Ziemskiego; dla ludu w Prokocimie, zwłaszcza szkoły tamtejszej, był prawdziwym opiekunem, a pomoc jego zaznaczyła się na ekonomicznem podniesieniu gminy. Zresztą datki jego na różne dobre cele często można było czytać w dziennikach, nie licząc tych, które po cichu szły na przeznaczony cel.

Między innemi co roku przeznaczał sumę kilkuset koron dla Towarzystwa Kolonii Wakacyjnych dla młodzieży szkół średnich.

Przed kilku dniami Erazm Jerzmanowski zapadł na zapalenie płuc, po-

wikłane następnie częściowym paraliżem mózgu. Zmarły pozostawił wdowę, z pochodzenia Amerykankę. Pogrzeb odbył się na cmentarzu krakowskim na razie w grobie przyjaciela.

Po pogrzebie otwarto w Prokocimie testament ś. p. Erazma Jerzmanowskiego, w obecności rodziny, przyjaciela p. Eustachego Chronowskiego, adwokata dr. Koscha i regenta dr. Tadeusza Starzewskiego.

Oprócz zapisów dla rodziny i żony, testament zawiera zapis 1 200 000 koron, od której to sumy corocznie Akademia Um. ma przyznawać nagrodę z $^{9}/_{10}$ części odsetek Polakowi lub Polce religii rzymsko-katolickiej, za wybitne dzieła literackie, naukowe i humanitarne, zapewniające wybitne stanowisko w społeczeństwie polskiem. Wybór osoby należy do Akademii Umiejętności w Krakowie, która na pokrycie kosztów administracyi otrzymywać będzie $^{1}/_{10}$ część dochodów od kapitału.

Fundacya wchodzi w życie po zgonie p. Erazmowej Jerzmanowskiej, mającej na tej sumie dożywocie.

Dalej 50 tysięcy rubli zapisał zmarły na ochronkę dla dzieci nr. 33 we Warszawie.

* * *

Ś. p. Zygmunt Przybylski,

popularny komedyopisarz, umarł dnia 13-go b. m. nagle w Warszawie na anewryzm serca.

Ze zmarłym schodzi do grobu jeden z najpłodniejszych i najpopularniejszych pisarzy scenicznych przed



Zygmunt Przybylski.

ostatniej doby. Swego czasu całemi latami grano jego komedye, gorąco przyjmowane. Były to chwile, gdy w bramy teatru polskiego nie uderzyły jeszcze potężne fale odrodzenia się teatru na Zachodzie a publiczność zadowalała się przeżytkami komedyi mieszczańskiej, u nas transponowanej na nutę wiejsko-szlachecką. Z całego szeregu komedyi (40) największem powodzeniem cieszył się „Wicek i Wacek“ (1888), „Państwo Wackowie,“ „Dwór w Włodkowicach,“ „Skradziona książka,“ „Posługacz,“ „Ptaki niebieckie,“ „Bzy kwitną,“ „Gałązka jaśminu.“

Nieboszczyk napisał także dla dzieci cały szereg łatwych do odegrania sztuczek. (Patrz artykuł: „Nowe książki. — Zygmunt Przybylski: Teatr amatorski dla dzieci i młodzieży“.)

Urodzony w r. 1856, ukończył gimnazyum i studya uniwersyteckie w Krakowie. Pracował początkowo w dziennikarstwie, później oddał się cały scenie. Od roku 1893—1897 był dyrektorem Teatru Skarbkowskiego we Lwowie, poczem przeniósł się na stały pobyt do Warszawy.

* * *

Ku uczczeniu śp. Maryi Meissner.

Uwiędłaś różo w rozkwicie życia,
Co dobro siejąc dokoła,
Umiałaś sobie miłość zaskarbić,
I zdobyć miano anioła!
Twe rzadkie cnoty, jak wonne kwiaty,
Wraz z Tobą spoczęły w grobie,
Lecz pamięć o nich w sercach wyryta,
Dziś towarzyszy żałobie.
Już wyzwolona z walki życiowej,
W lepsze przeniosłaś się światy,
A pozostali — u stóp mogiły, —
Łzy roniąc, składają kwiaty!
Ten żal serdeczny u Twojej trumny,
Co żywym znaczy się śladem —
To dowód zasług i cichej pracy,
Których Ty byłaś przykładem;
Słońce po zgonie Twoim znów świeci,
Wiosna rozkwieci nam łany,
Twego ubytku nic nie zastąpi,
Nie prędko zgoją się rany!
Niechaj ta ziemia lekką Ci będzie,
Choć tylu zroszona łzami,
Kryje Twe zwłoki w cichej ustroni,
Gdzie wszyscy raz się spotkamy.
Odeszłaś od nas, jak anioł biały ,
W ramiona śmierci z uśmiechem,
Pozwól niech dzisiaj me pożegnanie,
Serdecznem ozwie się echem.

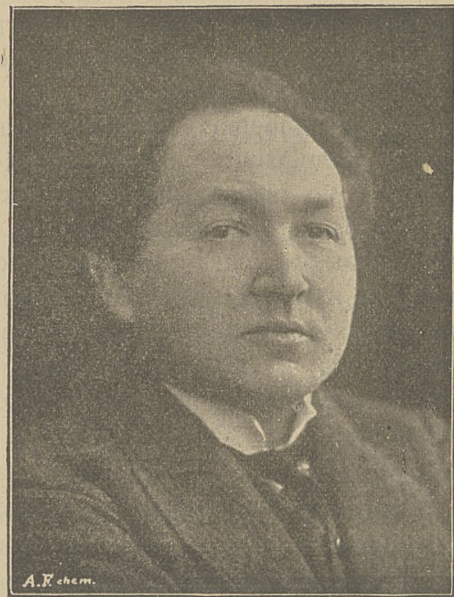
Poznań, 10. lutego 1909.

M. P—ska.



Koncert Godowskiego.

Wśród szeregu biesiad artystycznych, w które obfituje tegoroczny sezon, koncert Leopolda Godowskiego jedno z pierwszych zajął miejsc. Stanęła przed nami wybitna indywidualność artystyczna, mistrz dużej ręki, artysta



Leopold Godowski.

przed którym wirtuozowska technika artystyczna odkryła wszelkie zaczarowane tajniki. Mniej potężny jako współtwórca, jako ideowy zgłębiacz ducha granych kompozycyj, jest Godowski bezsprzecznie wielkim w ich technicznem wykonaniu. Rozporządza on prawdziwie po królewsku całym aparatem techniki fortepianowej. Jest w jego grze siła niepospolita i lekkość nadzwyczajna, zdumiewający w swej potędze żywiołowej rozmach i przedziwna subtelność prawie z przesadą granicząca, wielka słodycz ekspresyi, to znów dziwna jakaś cierpkość w sposobie wypowiadania się. Gry jego słucha się, jak czegoś zupełnie od kompozycyi niezależnego. Czaruje ona sama sobą, swym blaskiem, swym charakterem, swą wyrafinowaną finezyą i usuwa jakoby na plan dalszy kompozytora.

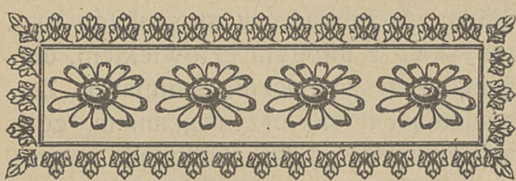
Nie pamiętamy koncertu, na którym byśmy byli stali silniej pod jednostronnem wrażeniem koncertanta, a bardziej zapomnieli o utworze samym. Tak fascynującą jest sztuka Godowskiego. I gdyby nas kto zapytał, jak artysta grał Betowena, jak Brahmsa, jak Szopena, który rodzaj szczególnie do jego indywidualności przypada, bylibyśmy w ambarasie, co powiedzieć. Mamy wra-

żenie, że domeną jego przedewszystkiem jest forma, wydobywanie najprzedziwniejszych efektów. Gra jego fascynuje przedewszystkiem ucho, zajmuje swą przejrzystością, niepokalaną czystością błyskotliwej przędzy, którą snuje, mniej natomiast przemawia do serca i mniej porusza głębsze pokłady duszy. Jestto bezsprzecznie poważną ujemnością w uzdolnieniu artysty, lecz mimo to sztuka jego stoi tak wysoko, że bez przesady fenomalną nazwaną być może.

Program był bardzo urozmaicony. Obok poważnej wielkiej muzyki fortepianowej Betowenów, Brahmsów i Szopenów, mieliśmy kilka sztuk, żeby się tak wyrazić, cyrkowych, napisanych na lewą rękę, które służyły artyście jako środek do uwydatnienia swego brawurowego wirtuozostwa. Z prawdziwą sztuką, w szlachetnem tego słowa pojęciu, ekwilibrystyka ta oczywiście nic nie miała wspólnego. Wyjątek pod tym względem stanowił nokturn Skriabina, rzecz pełna rzewnej ekspresyi, znakomicie skomponowana i również pięknie oddana. Przeróbka Szopena na lewą rękę w transkrypcyi Godowskiego mniej nas, jako kompozycya, zachwyciła. Szopena należy grać tak, jak kompozytor przepisał.

Nakoniec zwracamy się do urządzającej koncerty firmy E. Simona i prosimy, by w przyszłości kazała programy drukować także w języku polskim.

R.



Z teatru.

Józef Bliziński: „Rozbitki“ — komedya w 4 aktach.

Sztuka, którą zeszłej soboty obficie oklaskiwała licznie zgromadzona w teatrze publiczność, jest — jak to widać z tematu i samej zewnętrznej faktury (mówienie „na stronie“ — monologi itd.) — sztuką starej szkoły, komedyą z owej doby lat ośmdziesiątych, kiedy to idee społeczne żywiej poczęły zajmować umysły, a nowopowstałe klasy społeczne zaznaczały coraz to intenzywniej swoje istnienie i zaczęły walczyć także dla siebie o miejsce przy słońcu.

Były to czasy niepodatne dla rozwoju wielkiej sztuki. Publiczność, wykarmiona na suchej i trzeźwej filozofii pozytywistycznej, więcej niż kiedykolwiek hołdowała materyalizmowi i utylitaryzmowi, a sprzykrzywszy sobie romantyzm i idealizm poprzedniej doby, także od sceny żądała realizmu tj. odtwarzania przeciętnego szarego życia takiem, jakiem wówczas było. A było one pozbawione wyższych ideałów i aspiracyj. Przyczyniło się do tego ówczesne położenie polityczne naszego narodu, pamięć klęsk spowodowanych ostatnim zbrojnym porywem, przesilenie w rolnictwie, pociągające liczne bankructwa; zresztą były to czasy spekulacyj i rozrostu ekonomicznego ludności mieszczańskiej, która pragnęła rozrywek, strawy lekkiej, nie przeciążającej umysłu, sztuk o zdrowej tendencyi moralnej i społecznej, ilustrujących owoczesne stosunki, uwarunkowane szybkiem stosunkowo demokratyzowaniem się społeczeństwa.

W czasach tych literatura, a przedewszystkiem literatura sceniczna nader ubogą była w utwory pierwszorzędnej artystycznej wartości. I nie było tak u nas tylko, lecz działo się podobnie na zachodzie, gdzie tendencyjno-adwokacka twórczość Augierów i Dumasów, naszpilkowana tezą i okraszona moralizatorstwem wszechwładnie opanowała teatr.

Dziś nużą nas te sztuki, w których pieniądz, stanowisko społeczne i temu podobne obojętne dla sztuki zewnętrzne akcesorya odgrywają tak ważną rolę, że aż za jądro konfliktu dramatycznego służą. Wówczas były te tematy wielce aktualne i na wszelkie sposoby parafrazowane.

Taką jest sztuka Blizińskiego p. t. „Rozbitki“. Kawał przeciętnego, prozaicznego życia. Małostkowa gra ludzi małych, płaskich, jakich tysiące chodzi po tym najlepszym ze wszystkich świecie. Jestto smutna w swoim rodzaju komedya, właśnie dla tego, że osoby w niej figurujące są pozbawione wyższych aspiracyj; jednakże i drobnych promyków idealizmu nie poskąpił autor: Władysław, Maurycy, Pola — oto dodatniejsze jednostki — odbijają one dobroczynnie od owych potwornych Czarnoskalskich, Straszów, Dziendzierzyńskich, Łechcińskich, Michałków itd.

Na naszej scenie „Rozbitki“ dzięki znakomitej grze artystów i dobrej reżyseryi wypadły bardzo dobrze. Prym trzymali pp. Junosza i Bogusiński w roli podupadłych, lecz butnych arystokratów. Panowie ci ani na chwilę nie wypadli z roli, nie wnieśli do niej ani jednego fałszywego tonu. Nie można tego powiedzieć o panu Kliszewskim i p. Czerniaku. Obaj ci panowie szarżowali miejscami. Pan Czerniak w akcie pierwszym, p. Kliszewski w drugim. Po zatem grali obaj koncertowo, bez zarzutu. O panu Kęckim i Borońskim należy się wyrazić z uznaniem. Mniej się nam podobał p. Recheński w roli Michałka. Rola szambelanowej spoczywała w rękach pani Królikowskiej, która zawsze potrafi być wielką panią. Znakomicie wywiązała się z zadania pani Sieniawska, która w tego rodzaju rolach jest wprost niezrównana. Dużo powodzenia miała także panna Turowiczówna w trudnej roli Gabryeli. Artystka posiada dużo naturalnego wdzięku i tyleż inteligencyi aktorskiej, co sprawia, że się jej grę śledzi z zainteresowaniem. Bardzo sympatyczną, miłą Polą była panna Sławińska. Także reszta ról oddana była prawidłowo.

Całość — jak się rzekło — wypadła bardzo ładnie. W pierwszym jedynie akcie — także z punktu widzenia literackiego najsłabszym — rzecz na scenie szwankowała nieco. Nadmienić jeszcze należy, że niektórzy z naszych artystów widocznie nie są myśliwymi, nie opieraliby bowiem rąk na wylotach luf. Uchodziłoby to Dzieńdzierzyńskiemu i Straszowi, jako nieobeznanym z kunsztem myśliwskim, nigdy prawdziwym Nemrodom... *R.*

* * *

Franciszek Lehar: „Druciarz“ — operetka w 3 aktach.

Operetkę tę możnaby nazwać farsą muzyczną. Libretto nie odznacza się ani pomysłowością nadzwyczajną, ani wytwornym dowcipem. Muzyka także nie wznosi się po nad poziom bardzo miernej przeciętności. Lecz są w tej operetce role, z których zdolni artyści potrafią wybić całe miechy pustego, dobroczynnego śmiechu. Jest tam mnóstwo najbardziej nieprzewidywanych niespodzianek, są chóry chłopców i tańce żydowskie, jest regularna bijatyka i kawały koszarowe, jest prysznic na scenie i koń autentyczny, który — co się nie zawsze zdarza — przyzwoicie się zachowuje, jest żyd pejsaty i blachnierz trenujący się na parlamentarzystę. Przytem wszystkiem jest to sobie operetka lubo płaska to jednak przyzwoita, może ją wysłuchać bez zarumienienia każda pensyonarka — i to coś warte. Zresztą znajdzie tam słuchacz także kilka melodyj miło wpadających w ucho. Słowem rzecz, jakoby stworzona na bezmyślne, obficie pustym śmiechem przerywane zabicie zimowego wieczora. Kto zechce w sztuce tej szukać artystycznych wrażeń — ten się zawiedzie Kto od niej spodziewa się fury śmiechu — ten nawet miejscami kulać się może. Działo się też to, lubo nie dosłownie, obficie w audytoryum. Publiczność opuszczała przedstawienie ubawiona, przerywała spektakl rzesistemi oklaskami, zmuszała tancerzy do powtórek, słowem „Druciarz‘ podo-

bał się i ma u nas powodzenie zapewnione.

Przyczyniła się do tego świetna wystawa, piękne kostyumy i artystycznie wykonane dekoracye, znakomita reżyserya, a przedewszystkiem wyborna gra artystów.

Główna rola Pfefferkorna spoczywała w rękach p. dyrektora Lelewicza, który w roli tej jest niezrównany. Niezłym Glöpplerem był p. Kosiński. Bardzo sympatycznie wywiązały się z zadania pani Krajewska, Szlezyngerówna i Stokłowska. Panowie Sawicki, Fotygo i Huss objęli większe partye śpiewne i byli zupełnie na miejscu. Pan Huss powinien był aktorską stronę swej roli lepiej wyzyskać. Znakomity był p. Sierpiński w epizodycznej roli Knopperla. Pełnym żołnierskiego rozmachu wachmistrzem był p. Ruszczyc. Pani Faliszewską, która lepiej tańczy, jak śpiewa, ładną była Zuzią. Mały Wiktor Sumper śpiewał i grał dobrze.

Niepodobna tu wszystkich wymienić. Starczy powiedzieć, że wszystko szło znakomicie, chóry, nawet chłopięce, dobrze były wyćwiczone, dzięki zabiegom dyrygenta p. Lehrera. Tańce układu p. Faliszewskiego powszechnie się podobały, a „pas de trois“ w akcie drugim, odtańczone przez panie Dobrzycką, Szymańską i pana Faliszewskiego, trzeba było powtórzyć.

Na koniec nadmieniamy, że tekst polski „Druciarza“ nabyć można w księgarni p. Niemierkiewicza za cenę 60 fenygów. *R.*



Dział kobiecy.

U progu życia.

Jeśli matka posiada zupełne zaufanie swej córki, to wówczas łatwym, miłym, drogim jest obowiązek czuwania nad jej młodością, obserwowania wszystkich poruszeń serca i kierowania niemi.

Oj to serce! to serce szesnastoletniej panienki, jakie ono wrażliwe, czułe, jak się rwie do kochania.

Im organizacya duchowa bardziej rozwinięta, im umysł bystrzejszy, tem serce gorętsze, tem trudniej utrzymać je w karbach równowagi. Łatwiejsze jest prowadzenie charakteru trochę apatycznego, umysłu cięższego, choć i tu bywają wyjątki.

Nieraz natura ospała w każdym innym kierunku bywa rozwinięta pod względem uczuciowym, sentymentalna i, jak to mówią, „kochliwa.“ Taka natura wymaga także czujności ze strony matki, bo nieraz córka zupełnie nieświadomie, bez zdania sobie sprawy z własnych czynów, idąc naoślep za pierwszem uczuciem, zejść może na błędną drogę.

Wdzięczny materyał przedstawia charakter żywy, bystry, rwący się do czynu i życia. Trzeba go tylko pilnie obserwować, a nadewszystko ciągle, bez ustanku dostarczać mu sposobności do pracy. Panna obdarzona taką naturą niech ani chwili nie próżnuje!

W niniejszym artykule chcemy poruszyć kwestyę uczuć, do których budzi się natura w szesnastym lub siedemnastym roku życia.

Małżeństwo — to powołanie znacznej większości kobiet; jest ono tak poważnem, trudnem i świętem zadaniem, że wymaga koniecznie przygotowania. Obowiązki mężatki i matki tak są ważne, że podejmowanie się ich lekkomyślne w latach prawie dziecinnych jest błędem nie do darowania. Widzimy codziennie, na setkach przykładów, jaką to ciężką pokutą, nieszczęściem całego życia błąd ten bywa okupywany. Każda szczerze kochająca matka zgodzi się nie wydawać córki swej zamąż przed skończonym rokiem dwudziestym co najmniej.

Cóż więc ma zrobić z swem sercem panienka w tych trzech, czterech, najromantyczniejszych latach swego życia? W latach, w których tak jest usposobioną do zakochania się, że ubiera w szatę ideału każdego mężczyznę, na którego tylko spojrzy? I nic w tem dziwnego; trudno od podlotka wymagać jasnego sądu, doświadczonego zdania, którego czasem i ludzie dojrzali nie mają.

Miłość jest to uczucie przez Boga nam wlane do serca, dar najpiękniejszy w życiu. Nie trzeba więc tego przedmiotu unikać w rozmowach z córką, przeciwnie, niech matka nieraz wraca do niego. Niech uczy, jak należy uszlachetniać uczucie, podnosić do stopnia poświęcenia i zaparcia się siebie. Niech wykazuje, jak całą siłą woli, pracą i gorącą modlitwą należy bronić szlachetności swojego serca, by nie uledz temu, co w miłości jest igraszką zmysłów, nerwów lub wyobraźni.

Niech matka często wskazuje córce, jak ważną jest rzeczą, aby swoje serce oddała człowiekowi, który wart miłości szlachetnej, aby nie brała przelotnych kaprysów za miłość. Zresztą, gdy młoda dziewczyna nauczy się szanować swoje uczucia, i strzedz ich jak skarbu najdroższego, sama nie będzie skora obdarzyć tym skarbem pierwszego lepszego mężczyznę.

Choćby się w córce widziało już pewien stopień wyrobienia moralnego, nie należy jej jednak nigdy spuszczać z oka, nie powierzać opiece przyjaciółki na czas dłuższy; starać się utrzymać z nią w całej sile stosunek poufałej przyjaźni; wyrozumiałością na drobne usterki zjednywać ją sobie. Niech ta córeczka ma przed kim wypłakiwać nieraz swoje sercowe zawody, nie zrażać jej wtedy żartem lub lekceważeniem jej bólu.

W codziennych rozmowach przypominać, że najbystrzejsze oko matki w bardzo małym tylko stopniu uchronić może młodą dziewczęcę, aby nie drasnęło jej choć zlekka zło, rozsiane tak hojnie po świecie; że koniecznie sama czuwać powinna nad sobą, sama bronić się od złych książek,co drażnią nerwy i rozbudzają imaginacyę, bronić się od towarzystwa, które zgorszyć ją może swą rozmową. Powinna bez namysłu, bez wahania usłuchać zawsze głosu sumienia, gdy ją ostrzegać będzie: zaraz rzucić powieść, choćby w miejscu najciekawszem, jeśliby sceny przeczytanej nie mogła opowiedzieć bez rumieńca; zaraz opuścić pokój, w którym młode mężatki, zbyt rozbawione, prowadzą dwuznaczną rozmowę.

Powinna umieć utrzymać w granicach należnego sobie szacunku każdego mężczyznę, a zdwojoną czujnością powinna zachować w stosunkach towarzyskich z młodym człowiekiem, do którego żywszą poczuła sympatyę. Ze wzmagającem się przywiązaniem, coraz trudniejsze będą walki, ale zwyciężyć musi, aby czystą i białą, jak jej ślubna szata, stanąć u ołtarza.

Jeżeli żal z popełnionej jakiejś winy zawsze ciężkim jest i bolesnym, to najcięższym i najboleśniejszym jest żal za czystością i niewinnością duszy, którą choćby najlżejsza zbrudziła plamka. Palące są łzy takiej skruchy, niech ich nie wylewa żadna z naszych dziewczynek!

Ważną jest bardzo rzeczą, aby maka nie dopuściła do swego domu człowieka, za któregoby córki swej nie wydała (czy to ze względu na zdrowie, czy z innych powodów) choćby to był człowiek uczciwy. Nie dobrze jest również, gdy w domu, gdzie są panienki dorastające, stale mieszka młody człowiek; wynikają stąd nieraz przykre bardzo kolizye, bo serduszko wrażliwej panienki ani się opatrzy dla człowieka, czasem może zupełnie nieodpowiedniego na jej męża. Stąd zawody bolesne, rozczarowania, na któ-

re matka nie powinna narażać dziecka swego.

Póki serce wolne, niech w niem niepodzielnie założy swoje mieszkanie spółczucie dla rodziny, ojczyzny, ludzkości. Póki codzienne zajęcia obowiązkowe, wypełniające życie mężatki i matki aż po brzegi, obce im są jeszcze, niech poświęcą czas na poznawanie Boga w Jego cudach, niech założą w pierwszych latach młodości fundament granitowy wiary na całe życie!

Niech wrażliwe serduszko zajmie się ukochaniem obowiązku i prawdziwego piękna, a „kochliwość“ nie znajdzie doń tak łatwo przystępu.

Z dziedziny hygieny.

Otyłość.

Chcesz schudnąć? Rzecz to zarazem bardzo łatwa i bardzo trudna. Niewątpliwie łatwiej otyłemu stracić na wadze, niż chudemu utyć. Bardzo łatwo schudnąć, ale trzeba chcieć naprawdę i módz naprawdę.

Gdybym się zapytał jakiego mężczyznę, stroskanego swym potrójnym podbródkiem i okazałą figurą, a zmuszonego prowadzić życie siedzące, czy chce schudnąć? Odpowiedziałby bez wahania, że to jest jego najgorętszem życzeniem. Jeślibym jednak poradził mu, aby w tym celu chodził na polowanie, jeździł na rowerze, fechtował się lub gimnastykował, rzekłby niewątpliwie, że nie ma na to czasu.

Weźmy drugi przykład. Kobieta niepierwszej młodości, ale chcąca się jeszcze podobać, widzi z rozpaczą, że kształtne dawniej rysy zmieniły się, że gorset coraz bardziej ją ściska, a staniki trzeba ciągle rozpuszczać. Pragnie ona z całej duszy schudnąć, a przynajmniej nie tyć więcej.

Jeśli jej jednak powiem: „Niech pani wstaje o 6-tej rano i odbywa dalekie piesze przechadzki,“ odpowie ironicznie, że dla dania takiej rady niepotrzeba doktora. Chce schudnąć, ale nie ma dosyć siły woli, aby się pozbyć przyzwyczajeń, które się stały drugą jej naturą.

Chcieć więc to nie zawsze módz.

Tak, aby schudnąć, trzeba mieć dosyć siły charakteru, gdyż nieraz chcąc ten cel osięgnąć, należy zmienić cały tryb życia.

Przedewszystkiem trzeba mniej jadać, ale za to pokarmy najpożywniejsze.

Hipokrates mówi: Ludzie otyli powinni pracować naczczo i zasiadać do jedzenia zmęczeni; potrawy, które jedzą, niech będą słodkie i tłuste, aby się nasycić mogli małą ich ilością; prócz tego niech jedzą tylko raz na dzień, śpią twardo i dużo chodzą.

Alkalia i kwasy wszelkiego rodzaju stanowią środki niezawsze skuteczne, a często niebezpieczne. Brillat Savarin w swojej Fizyologii smaku wymienia dziewczynę, która umarła wskutek picia octu, co czyniła dla stracenia tuszy.

Wypadki tego rodzaju są bardzo liczne, każdy lekarz ma w swojej praktyce przykłady jeśli nie takich mimowolnych samobójstw, to przynajmniej zepsutych żołądków i nadwerężonego w taki sposób zdrowia. Poruszmy teraz ważną kwestyę napojów. Czy otyli mogą pić dowoli? Lekarze dzielą się na hydrofilów i hydrofobów.

Tym ostatnim nie pomogłaby hydropatia, gdyż mają oni odrazę nietylko do wody, ale do wszelkiego rodzaju napojów. Woda studzienna czy źródlana, piwo czy likier nie mają łaski u hydrofobów.

Kwestya używania napojów nie jest ostatecznie rozstrzygniętą, większość jednak lekarzy zgadza się na to, że jeżeli z otyłością nie łączy się choroba wątroby, kamienia i t. d., to ilość napojów powinna być sprowadzona do minimum.

Długi czas używano wewnątrz, jako środka przeciw otyłości, mydła, po 15 gram. dziennie. W istocie pomaga mydło do rozpuszczenia tłuszczów i do ich strawienia, ale brane w tak dużej dozie sprowadza zaburzenie żołądkowe.

Harvey, doktor londyński, przepisał dla przemysłowca angielskiego Bautinga specyalny tryb życia, zwany w Anglii dyetą Harvey Bauting'a. Zaleca on dziennie cztery posiłki, składające się głównie z mięsa; tłuszczów i potraw mącznych jeść zabrania.

Nie pozwala również cukru, mleka i piwa, inne jednak napoje, jak kawę, herbatę, wino, nawet w większej ilości pić przy jedzeniu poleca.

Profesor Bouchard przepisał dla tłuściochów następujący tryb życia: przez trzy tygodnie bez przerwy po 1250 gramów mleka i pięć jajek dziennie w pięciu dozach; przez pięć następnych tygodni pozwala na urozmaicenie pożywienia, ściśle zawsze oznaczając jego rodzaj i wagę.

Prócz tego sławny lekarz zaleca chorym rozrywki, nacierania, kąpiele gorące lub zimne dla podbudzenia systemu nerwowego i, za przykładem Hipokratesa, jest zwolennikiem ruchu naczczo. Starym tłuściochom każe wyłącznie używać w małej ilości mleka i tylko wtedy, gdy żołądek domaga się gwałtownie pożywienia.

Wogóle kuracyę otyłych trzeba prowadzić ostrożnie, zwracając pilną uwagę na serce i żołądek.

Należy pamiętać o tem, że tkanka tłuszczowa wytwarza się najpierw przy organach wewnętrznych i że one znów pierwsze ją tracą, ta więc utrata tłuszczu wywołuje nieraz zaburzenia, których lekceważyć nie można.

Nowe książki, konkursy i treść pism.

Pisma Juliusza Słowackiego. Zbiór utworów wydanych za życia i po śmierci autora. Z przedmową i w układzie Artura Górskiego. Sześć tomów. Kraków 1908.

Firma G. Gebethnera w Krakowie (Warszawa: Gebethner i Wolff), krocząca na czele naszego świata wydawniczego, ogłosiła, chcąc i ze swojej strony uczcić jubileuszowy rok wielkiego poety (jak wiadomo, Słowacki urodził się 23-go sierpnia 1809-go roku) obszerny, sześciotomowy zbiór utworów wieszcza. Przygotowanie wydania tego do druku powierzono Arturowi Górskiemu, autorowi znakomitej książki o Mickiewiczu („Monsalwat“) i wogóle niepośledniemu znawcy epoki romantycznej naszej literatury, który wywiązał się z zadania ze zwykłą starannością i cechującem go zawsze umiłowaniem przedmiotu. Pomieścił więc w tej nowej edycyi nietylko wszystkie utwory poety wyszłe za jego życia (te tylko znachodziliśmy w dotychczasowych zbiorowych wydaniach pism Słowackiego), ale i wszystkie po nim pozostałe utwory poetyckie, i to oprócz takich, które były już wydane w książkach, także rzeczy po rozmaitych pismach drukowane, dla szerszego ogółu już niedostępne. Ale znajdujemy tu i poezye wprost z rękopisu przeniesione pod prasę drukarską, a więc zupełnie nieznane, a przynajmniej nigdy jeszcze drukiem nie ogłoszone. Całość, jak już wspomnieliśmy, składa się z sześciu obszernych tomów, a układ ich jest następujący:

Pierwszy tom zawiera lirykę w ściślejszem znaczeniu (lirykę, poezye patryotyczne i rewolucyjne oraz powieści poetyckie), tom drugi obejmuje opowieści z Anhellim na czele, tomy: trzeci, czwarty i piąty mieszczą w sobie dramatyczną twórczość Słowackiego. Tom szósty wreszcie jest — jak mówi Górski w przedmowie — światem wizyj kosmicznych, po których chodzi zadumana myśl Polaka i odgaduje własne przeznaczenia. Utwory w tym tomie zawarte, chociaż różnią się co do formy, łączą się jednakże ze sobą ściśle i uzupełniają wzajemnie. Rozpoczyna ten zbiór poemat prozą *Genezis z Ducha,* kończy *Król-Duch.*

Zewnętrznie przedstawiają się tomy bardzo dodatnio, papier, jak na wydanie popularne (jako takie było planowane) dobry, czcionki małe, ale wyraźne. — Cena za całość, obejmującą

blizko 230 arkuszy druku, a stron przeszło 3600, wynosząca 15 marek, jest bardzo przystępną, prawdziwie popularną. Pamiętajmy o tem, że jest to kompletny zbiór pism Słowackiego.

Niniejsze popularne wydanie nie jest identycznem z 10-cio tomową edycyą dzieł Słowackiego przygotowaną na rok jubileuszowy przez księgarnię Gubrynowicza i Syna we Lwowie. (Cena 40 marek). Tu pracą (zaiste nie łatwą) zbierania materyału i oddania go do druku podzielili się dr. Bronisław Gubrynowicz (liryka, epika) i dr. Wiktor Hahn (dramat).

Krzątanie się firm wydawniczych około zapewnienia nam pełnych wydań pism nieśmiertelnego Juliusza jest objawem bardzo pocieszającym, pięknem uczczeniem pamięci wieszcza.

T. M.

* * *

Zygmunt Przybylski: Teatr amatorski dla dzieci i młodzieży. Warszawa 1908. Nakład Gebethnera i Wolffa. — Kraków, G. Gebethner i Spółka.

Przybylski, który dał scenie polskiej kilka wcale niezłych utworów, powziął szczęśliwą myśl poświęcenia swojej rutyny scenicznej i łatwości w tworzeniu wdzięcznych obrazków scenicznych na usługi dzieci polskich. Napisał więc dla dziatwy cały szereg łatwych do odegrania, a nie wymagających pod względem dekoracyi żadnych nakładów, sztuczek, nadających się do odegrania w kółku rodzinnem. Urządzanie takiego teatrzyku wzbudzi w młodem pokoleniu nietylko zamiłowanie do teatru polskiego, ale wypełni także wolne chwile dziatwy nadzwyczaj godziwą rozrywką, przyczem podnieść należy i to, że odpisywanie ról, głośne ich odczytywanie, wreszcie wspólne próby przyczynią się niewątpliwie do kształcenia języka polskiego.

Pierwsze tomiki „Teatru amatorskiego“ zawierają następujące komedyjki: Ziemia ojczysta, Za słońcem, Panna służąca, Pamiętnik Jadzi, Wet za wet, Edukacya Bronki, Tadzio jest chory, Koledzy, Wicek i Wacek, Dumny Kazio, Wesele siostry, Wesele brata. — Wszystkie te komedyjki wyszły także razem w jednym tomie p. t. Dwanaście komedyjek jednoaktowych (tym samym nakładem).

Księgarnia Spółki Wydawniczej Polskiej (Kraków 1909) wydała podobny zbiór pióra Przybylskiego p. t. Sześć komedyjek dla młodzieży, zawierający: Panny Szastalskie, Tańcująca herbatka, Zaczarowany las, Poskromiona złośnica, Żywa lalka, Wdzięczny Józio. Tak jak poprzedni zbiorek odznacza się i ten zacną myślą przewodnią, zręcznością wykonania oraz trafnem zastosowaniem treści do pojęć dzieci. Ponieważ i te komedyjki zawierają niejedno zdrowe ziarno moralne, podane w lekkiej, zrozumiałej formie, więc i pod względem wychowawczym oddać mogą rodzicom lub ich zastępcom dobre usługi około wykształcenia w „małym światku“ przymiotów serca i duszy.

Zewnętrznie przedstawia się książeczka powyższa bardzo ładnie: aż miło wziąć ją do ręki. *T. M.*

* * *

Ignacy Chrzanowski: Za co powinniśmy kochać Pana Tadeusza? (Biblioteczka uniwersytetów ludowych i młodzieży szkolnej nr. 101). Warszawa — Kraków 1908.

Popularny odczyt Chrzanowskiego wygłoszony w swoim czasie w uniwersytecie ludowym Polskiej Macierzy szkolnej ukazał się w druku jako nr. 101-szy „Biblioteczki uniwersytetów ludowych.“ (Nawiasem zaznaczamy, że to wielce pożyteczne wydawnictwo zlało się w jedną całość z pokrewną sobie „biblioteczką młodzieży szkolnej).

Piękny, zwięźle i naukowo opracowany odczyt powyższy sposobem ujęcia rzeczy trafić musi niewątpliwie do serca i duszy słuchacza lub czytelnika, czem osiągnie z pewnością zamierzony cel, to znaczy, że pobudzi szerokie masy do jeszcze większego ukochania Mickiewicza i jego nieśmiertelnej poezji. Rozebrawszy wszystkie piękności potężnego dzieła Adama, reasumuje autor swoje znakomite wywody w odpowiedzi na pytanie „za co powinniśmy kochać Pana Tadeusza“ następująco: Widzieliśmy, że z jednej strony jest Pan Tadeusz wiernym obrazem życia staropolskiego, naszej przeszłości narodowej i uczy nas tę przeszłość kochać; a z drugiej, uszlachetniając nasze serca, siejąc w nich ziarna ideałów: piękna, prawdy i dobra, uczy nas, jak służyć ojczyźnie, jak ją budować. Jest więc Pan Tadeusz naprawdę „arką przymierza pomiędzy dawnemi, a młodszemi laty,“ „z archanielskiemi skrzydłami i głosem,“ jest naszą poetyczną ojczyzną, zarówno przeszłą, jak przyszłą. Więc kto kocha ojczyznę, ten kocha i Pana Tadeusza.“

Jak tu nie przyklasnąć takiej odpowiedzi na postawione sobie przez autora pytanie? Broszurkę tę polecamy gorąco ku jak najszerszemu rozpowszechnianiu. Cena: 6 kopiejek.

T. M.

* * *

„Śpiewaka“, organu Związku Kół Śpiewackich, wyszedł zeszyt 8-my na miesiąc luty, zawierający:

„Przedświt muzyki polskiej. — Niccolo Paganini. — Nauka o śpiewie. — Wiadomości ze świata muzycznego. — Nowości muzyczne. — Dodatek muzyczny: „„Barkarola 4-wy chór męzki, Radziszewski. — Boguski.““

Przedpłata kwartalna w mieście Poznaniu wynosi 1,00 mrk.

Wiece, zebrania, zabawy.

* **III. ogólny Zjazd Kupiecki.** Niżej podpisany Zarząd Związku kupieckiego uchwalił na ostatniem swem zebraniu w dniu 15 stycznia odbytem, połączyć sprawę założenia hurtownego domu kolonialnego w Poznaniu ze sprawą założenia Bratniej Pomocy Kupieckiej.

W tym celu odbędzie się III. ogólny Zjazd Kupiecki w Pleszewie w niedzielę, dnia 28 lutego rb. o godz. 1 i pół z południa w hotelu Wiktorya.

Na zjazd ten zapraszamy wszystkie Towarzystwa Związkowe oraz wszystkich samodzielnych panów kupców.

Porządek obrad:

1) Zagajenie. 2) Wybór przewodniczącego i sekretarzy. 3) Sprawa założenia „Bratniej Pomocy Kupieckiej“, referenci pp. Samulski z Pleszewa i Thomas z Borku. 4) Sprawa założenia hurtownego domu kolonialnego w Poznaniu, referenci pp. Z. Jeziorkowski z Miłosławia i mec. Drwęski z Poznania. 5) Wolne głosy. 6) Zamknięcie Zjazdu.

Dla ważności spraw na zjeździe poruszyć się mających spodziewamy się łaskawego licznego przybycia. Do miłego zatem widzenia w Pleszewie!

Kupiectwu cześć!

Zarząd Związku Kupieckiego na Rzeszę niemiecką z siedzibą w Poznaniu.

Celem uczczenia gości przybywających na Zjazd Kupiecki, urządzamy po zjeździe o godz. 6 i pół wieczorem wspólną kolacyę (nakrycie M. 2).

Z tej przyczyny uprasza się o jak najwcześniejsze zamówienia nakryć najpóźniej do 25 bm. pod adresem:

S. Kugler, Hotel „Victoria“ w Pleszewie.

Upraszamy o jak najliczniejszy udział.

Towarzystwo Kupców w Pleszewie.

* * *

* **Wieczornica.** Świetnie zapowiada się niedzielna wieczornica „Klubu Muzycznego w Poznaniu,“ która się odbędzie na terasowej sali Lamberta, wieczorem o godz. 7-mej. Towarzystwo dokłada też wszelkich starań, aby wieczór ten Szan. Publiczności jak najwięcej uprzyjemnić. Dość wymienić piękny utwór J. N. Kamińskiego, p. tyt. „Zabobon czyli Krakowiacy i Górale,“ komedyo-opera w 3-ch aktach. Efektowność podniosą niewątpliwie zupełnie nowe kostyumy, które dostarczy fabryka „Krakus“ z Poznania. Całość zakończy „Czardasz.“ — Po przedstawieniu odbędzie się bal na wielkiej sali Lamberta.

Biletów poprzednio nabyć można w składzie cygar p. Żychlińskiego pl. Wilhelmowski, w składzie papieru p. Skrzetuskiego, ul. Wodna oraz w domu p. Konarskiego, Grobla 27 a IV. wchód II. piętro.

* * *

* **Zebranie Towarzystwa rolniczego** w Łasinie Pr. Zach. odbędzie się *w czwartek dnia 25 lutego rb. o godzinie 4-tej po poł.*

O liczny zjazd prosi

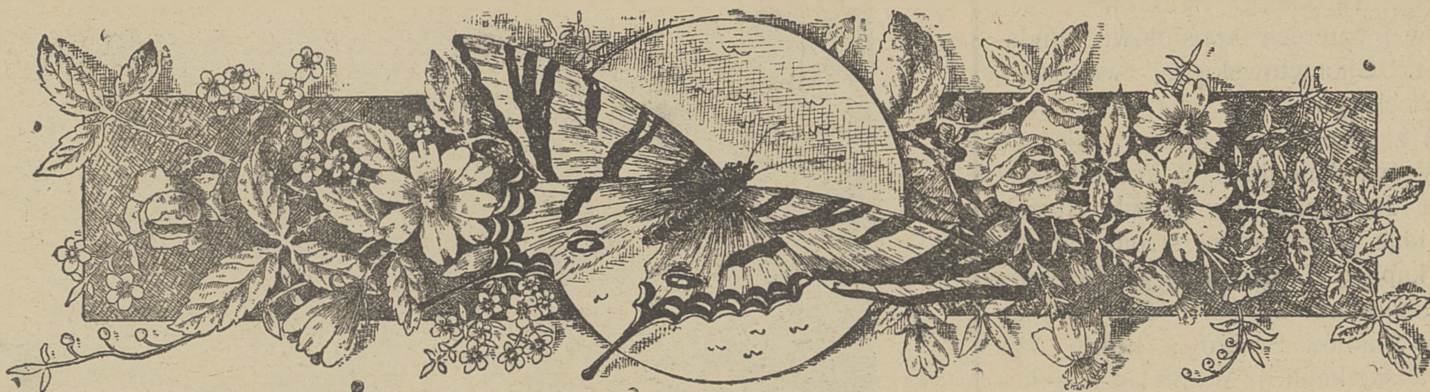
Zarząd.





Jan Matejko.

Smierć Jana Tenczyńskiego.



Na Jasnej Górze.

Z nadzieją idziem do Ciebie,
Z miłością, nadzieją i wiarą;
Polskiej Korony Królowo,
Nie gardź serc naszych ofiarą!..
Z modlitwy pielgrzymów.

Mijają lata, wieki całe mijają, kraj nasz przechodzi koleje rozmaite; Polska błyszczy świetnością i potęgą, to znów zalewają jej wsie i miasta hordy najeźdźców, Tatarów, Szwedów, — upada, to znów się podnosi, — wreszcie rozszarpana w niewoli, ugina się pod jej brzemieniem, niby męczennica. W ciągu tych lat długich, w złej czy dobrej doli, naród polski zwraca wzrok swój zawsze na Jasną Górę, tam składa Stwórcy dzięki za łaski na kraj zsyłane, tam niesie skargi swe i smutki w chwili przygnębienia, tam szuka otuchy i czerpie nadzieję lepszej przyszłości, tam wreszcie znajduje siłę do znoszenia nieszczęść, jakie ciężkiem brzmieniem spadają na ogół i na jednostki z pośród narodu naszego.

Każdy wypadek, każde zdarzenie na Jasnej Górze rozlega się głośnem echem po wszystkich zakątkach, gdzie mowa polska rozbrzmiewa. A zdarzeń tych w ciągu wieków było wiele, smutnych i radosnych a wszystkie miały ścisły związek jeżeli nie z wypadkami, kraj cały dotyczącemi, to przynajmniej z nastrojem całego społeczeństwa. Bo Jasna Góra to symbol Polski całej. Gdy ona rozbrzmiewa radością, kraj cały się raduje, gdy broni się przed nawałą wrogów, kraj cały zrywa się do obrony, gdy w smutku się pogrąża, kraj ugina się pod ciężarem smutku; gdy z wiarą spogląda w przyszłość, kraj cały przenika wiara i nadzieja dni lepszych, jaśniejszych.

Blizko dziewięć lat temu, w nocy z dnia 15-go na 16-ty sierpnia w roku 1900-ym stanęła w płomieniach wieża Jasnogórska. Zarówno na Jasnej Górze jak i po całej Polsce rozległ się jęk bolesny. Ale nie trwał długo. „W górę serca!...“ —zabrzmiało hasło po całej ziemicy. Los zniszczył wieżę, — stanie na jej miejscu nowa, piękniejsza, trwalsza, wspanialsza. I znów wypadek ten stanął w ścisłym związku z nastrojem całej ludności polskiej. Wszyscy, komu droga ojczyzna, i kto w Opiekunce Korony Polskiej pokłada nadzieje, rzucili się do znoszenia cegiełek, w postaci ofiar, na budowę nowej wieży, tego symbolu Polski całej.

I wzniosła się znowu, i znów strzeliście sięga ku Niebu, i znów w rozległym promieniu widać ją zdala, jakby mówiła: „jestem i będę!“...

Jest i będzie!...

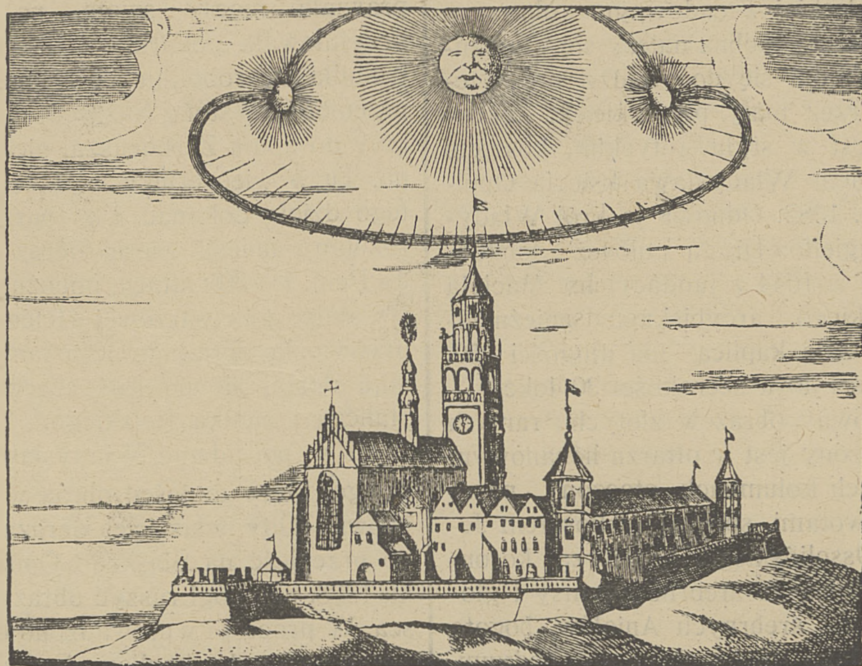
* * *

Nazwa „Jasna Góra“ pochodzić ma od św. Wojciecha. Obraz, słynący cudami, odwiedzają corocznie bardzo liczne pielgrzymki, składające się z tysięcy pobożnych pątników. Któżby zliczył, ile łask doczesnych i dla duszy otrzymali tu i otrzymują pobożni za przyczyną Najśw. Panny?

Pamiętnym i historycznym cudem jest obrona Częstochowy, oblężonej przez Szwedów w r. 1655 i zwycięstwo 160 żołnierzy i 70 braci zakonnych pod wodzą Kordeckiego nad 12 tysiącami nieprzyjaciela, pięknie opisane w historycznej powieści Sienkiewicza, pt. „Potop“.

Kościół ma długości 112, szerokości 30 łokci, wewnątrz wysokość od posadzki do sklepienia wynosi 50 łokci. Zewnątrz przedstawia się kościół imponująco, wewnątrz tchnie powagą i zgodnym układem. Budowa jest gotycka, pierwotnie miał mniejsze rozmiary, później go przedłużono; może pomieścić 5—6 tysięcy ludzi. Początek dał mu król Władysław Jagiełło; w drugiej połowie 17-go wieku, po oblężeniu szwedzkiem i pożarze, kościół odnowiono i ozdobiono.

Sklepienie trzech naw opiera się na filarach, połączonych łukami. Nawa środkowa jest wyższą od dwóch bocznych. Przedsionek kościoła, obok kaplicy św. Antoniego, proporcyonalnie wielki, ozdobiony jest obrazami, przedstawiającemi chwałę N. Panny i szczegóły koronacyi obrazu w r. 1717. Nad tabernaculum jest z jednej sztuki ciosowego kamienia wykute Wniebowzię-



Kościół i klasztor N. P. Maryi Częstochowskiej według bardzo starego sztychu.

cie Matki Boskiej, z figurami trzech Aniołów i czterech Apostołów, fundacyi St. Chomętowskiego, wojewody mazowieckiego.

Już z przedsionka można wejść do kaplicy św. Antoniego. Z kościoła jest wejście do kaplicy św. Pawła Pustelnika; idąc dalej prawą stroną, spotykamy kaplicę z relikwiami pięciu Świętych. Schodami do góry idzie się do kaplicy Aniołów Stróżów, która dziś nazywa się kaplicą Matki Boskiej kodeńskiej. W ołtarzu jest kopia dawnego obrazu hiszpańskiego. Obraz ten (kopia) przywieziony przez Mikołaja Sapiehę na Podlasie, był tam w kościele parafialnym przez lat 200, słynąc łaskami i ściągając tłumy pielgrzymów. W r. 1875 przywieziono go do Częstochowy i umieszczono w ołtarzu tej kaplicy.

Na uwagę zasługują także wspaniałe organy, sprawione z zapisu Stan. Szembeka, arcybiskupa gnieźnieńskiego. Budował je organmistrz Kosmowski, staraniem prowincyała Moszyńskiego w r. 1724. Przerobiono je i ozdobiono w r. 1845.

Cały kościół jest wewnątrz marmoryzowany, staraniem ks. Ksawerego Rottera, przeora, w roku 1760. Restauracya po pażarze odbyła się w roku 1620 staraniem prowincyała Czechowicza. Po prawej stronie wielkiego ołtarza jest tron biskupi, artystycznie wykonany i umieszczony w r. 1866. Zewnątrz kościoła na gzymsach i wyczołkach są figury Świętych. Kościół, kaplica Matki Boskiej i budynki klasztorne zaopatrzone są w gromochrony. Prócz kapeli własnej, ma klasztor także stały chór śpiewaków; śpiew z muzyką odbywa się w niedziele i święta, a w kaplicy Matki Boskiej codziennie w czasie wotywy.

Najważniejszą kaplicą jest kaplica Matki Boskiej z cudownym obrazem, której przeto osobna należy się wzmianka. Wchodzi się do niej z presbyteryum przez mały przedsionek. Zbudowana jest w stylu gotyckim, kosztem i staraniem Władysława księcia Opolczyka r. 1382. Odnowił ją król Władysław Jagiełło. Drugą połowę dobudowano w r. 1644 z fundacyi ks. Macieja Łubieńskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego. Cała kaplica ma długości 50, wysokości 40 a szerokości 30 łokci.

Cudowny obraz w złotych ramach umieszczony jest w ołtarzu hebanowym o czterech kolumnach, otoczony posągami i wotami, sprawiony kosztem Jerzego Ossolińskiego, kanclerza koronnego. Zdobią go srebrne gzymsy i głowice, sześć srebrnych Aniołów, bogata buława Jana III. i srebrne antypedyum. Obraz cudowny zasłaniano dawniej firankami, od r. 1675 zasłania go srebrno-



Widok klasztoru jasnogórskiego i wieży przed pożarem w 1900-ym roku.

złota blacha, z wizerunkiem św. Trójcy, dar hr. Działyńskich. Obraz zdobią sukienki, zmieniane wśród modłów w Wielki Czwartek o godzinie 4 z rana. Jest ich trzy: dyamentowa, perłowa i rubinowa. Głowy Najśw. Panny i Dzieciątka Jezus wieńczą złote korony z brylantami. U sklepienia wisi ośm srebrnych lamp. W środku kaplicy zwisa ze stropu kandelaber. U góry jest kryta galerya, chór zakonny i chór z organami, stale dla księży, a w przedłużeniu kaplica św. Józefa. Na filarach są obrazy, przedstawiające chwile z życia N. Panny, a za filarami — konfesyonały ze symbolami.

Obraz Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej , malował podług tradycyi, św. Łukasz Ewangelista na drzewie cyprysowem, na płycie stolika, przy którym Bogarodzica Marya odprawiała modły swoje, na którym przyjmowała pokarmy i przy którym trudniła się robotami ręcznemi. Wierni przenieśli ów stół z Nazaretu do Jerozolimy do domu Zebedeusza, ojca św. Jana. Tu w wieczerniku miał św. Łukasz tego dzieła dokonać. Po zburzeniu Jerozolimy unieśli wierni obraz ze sobą do Pelli. Po 300 latach, pobożne niewiasty dały go cesarzowej Helenie, która przywiozła obraz do Konstantynopola, stąd dostał się na Ruś czerwoną do Halicza i zamku Bełzkiego. Tu przeszedł w posiadanie Władysława Opolskiego, który umieścił obraz w Częstochowie. Gdy właściciel obrazu chciał go przenieść na Śląsk do Opola w roku 1378, nie mógł ruszyć obrazu z miejsca. W procesyi wprowadzono obraz na Jasną górę do kaplicy drewnianej, a dla strzeżenia go sprowadził Władysław Opolski OO. Paulinów z Węgier, pod których opieką obraz przeszło 500 lat pozostaje.

W r. 1430 za panowania króla Władysława Jagiełły napadli na klasztor OO. Paulinów Husyci, pięciu z nich zabili, resztę rozproszyli, zabrawszy ozdoby obrazu i inne kosztowności, a nawet targnąwszy się na sam obraz: wyrwali go z ołtarza i chcieli uwieść. Wóz jednak z obrazem stanął w miejscu, gdzie dziś jest kościół św. Barbary, i nie można go było z miejsca ruszyć. Wtedy jeden ze świętokradców począł obraz przeklinać, wszedł na wóz, porwał obraz, rzucił nim o ziemię i rozbił go na 3 części; twarz tylko N. Panny i Boskiego Jej Syna została w całości. Inny świętokradzca przyskoczył do obrazu i dwakroć uderzył szablą w prawą stronę Oblicza. Zamierzył się jeszcze po raz trzeci, lecz już wtedy ręki opuścić nie mógł, upadł zdrętwiały i na miejscu wyzionął ducha.

Pozostali Hussyci, przestraszeni tą oczywistą karą Boską, opuścili rozłupany i zbłocony Obraz święty, uciekając do Śląska.

Dowiedziawszy się o tem OO. Paulini, pospieszyli po obraz, pozbierali jego części, chcieli go obmyć, lecz nie mieli pod ręką wody. Wytrysło jednak cudownie źródło, do dziś obok kościoła św. Barbary istniejące, skuteczne w chorobach, zwłaszcza oczu. Tą wodą obmyli OO. Paulini obraz i w procesyi wprowadzili go na Jasną górę. Na rozkaz Władysława Jagiełły obraz spojono i odnowiono, dwukrotne jednak cięcie nie dało się zamalować.

Aby pamięć powyższego cudownego zdarzenia uwiecznić, wystawiono na wyżej wzmiankowanem miejscu naprzód krzyż drewniany, potem murowany po-

mnik a w końcu w r. 1637 Prowincyał Zakonu OO. Paulinów, Andrzej Gołdonowski, rozpoczął budowę dzisiejszego kościoła pod wezwaniem SS. Andrzeja Apostoła i Barbary P. M., Patronki dobrej śmierci, własnym i Zakonu funduszem. Budowę wraz z przylegającym do kościoła gmachem ukończono w roku 1642.

Wkrótce potem obok kościoła wybudowano kaplicę, w której się znajduje wzmiankowane cudowne źródło.

W dawnych czasach prawie wszyscy królowie polscy odwiedzali święty przybytek Częstochowskiej Panienki.

Pierwszym z monarchów, który zwiedzał ten cudami słynący klasztor, był Kazimierz Jagiellończyk; był tu r. 1448 z matką swoją Zofją, dla uproszenia błogosławieństwa Bogarodzicy na dalszy ciąg panowania.

Przybył później powtórnie w r. 1472 z królową Elżbietą, małżonką swoją, tudzież, jak mówi podanie miejscowe, z całem potomstwem swojem.



Widok wieży jasnogórskiej po pożarze w dniu 12-ym sierpnia 1900-go roku.

Syn jego, król Aleksander, przywilejem z roku 1502 wyzwolił mieszczan częstochowskich z pod praw i urzędów ziemskich, nadając im moc rządzenia się prawem magdeburskiem, a tym sposobem małoznaczące miasto wprowadził do swobód stanu miejskiego w całem królestwie.

Podobnież po dwakroć odwiedzał Jasną Górę Zygmunt I., przywilejami uposażył Częstochowę i hojne dary złożył u stóp cudownego obrazu.

Z pobożnych pobudek do kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej przybywali Zygmunt August i Henryk Walezy; tu Stefan Batory r. 1581 miecz swój zostawił w ofierze.

Później zjechał tu, w r. 1616, Zygmunt III. z królową Konstancyą, dla widzenia się z arcyksięciem Karolem, który błagał dla Ferdynanda II. o pomoc zbrojną i pieniężną przeciw Węgrom i różnowiercom czeskim; był Zygmunt III. raz jeszcze w roku 1620 w Częstochowie, a wtedy złożył znaczne fundusze dla klasztoru i kościoła.

Pierwszy z królów, którego przyjmowano w mieszkaniach nowozbudowanego wtedy klasztoru, był Władysław IV.

Zaraz po wstąpieniu na tron, w r. 1635, odwiedził świątynię jasnogórską wraz z królową Anną Katarzyną, swoją siostrą, oraz Janem Kazimierzem, Karolem Ferdynandem, biskupem wrocławskim i Aleksandrem Karolem, braćmi swymi.

Poślubiwszy Cecylię Renatę, był z nią po raz wtóry w Częstochowie r. 1638; potem jeszcze w roku 1642; ostatni raz przybył Władysław IV. na Jasną Górę r. 1646 w towarzystwie Ludwiki Maryi dla wyproszenia sobie pomocy nieba przeciw Turkom.

Jan Kazimierz przybywał do stóp Częstochowskiej Królowej, cztery razy w ciągu swego panowania. Tu też dwukrotnie odbył radę senatu.

Przed ołtarzem w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej odbyły się zaślubiny Michała Wiśniowieckiego z arcyksiężną Eleonorą (r. 1670) wobec matki, cesarzowej wdowy po Ferdynandzie III. i własnej siostry.

Dwa razy był na Jasnej Górze Jan III. Sobieski: raz z żoną Marysieńką i synem Jakóbem dla dziękczynnych modłów, a powtórnie, dążąc na odsiecz Wiednia r. 1683, spowiedź tu odprawił.

Bywali w Częstochowie również August II. i III., a za panowania pierwszego z nich, z polecenia papieża Klemensa XI. odbyła się koronacya cudami słynącego obrazu.

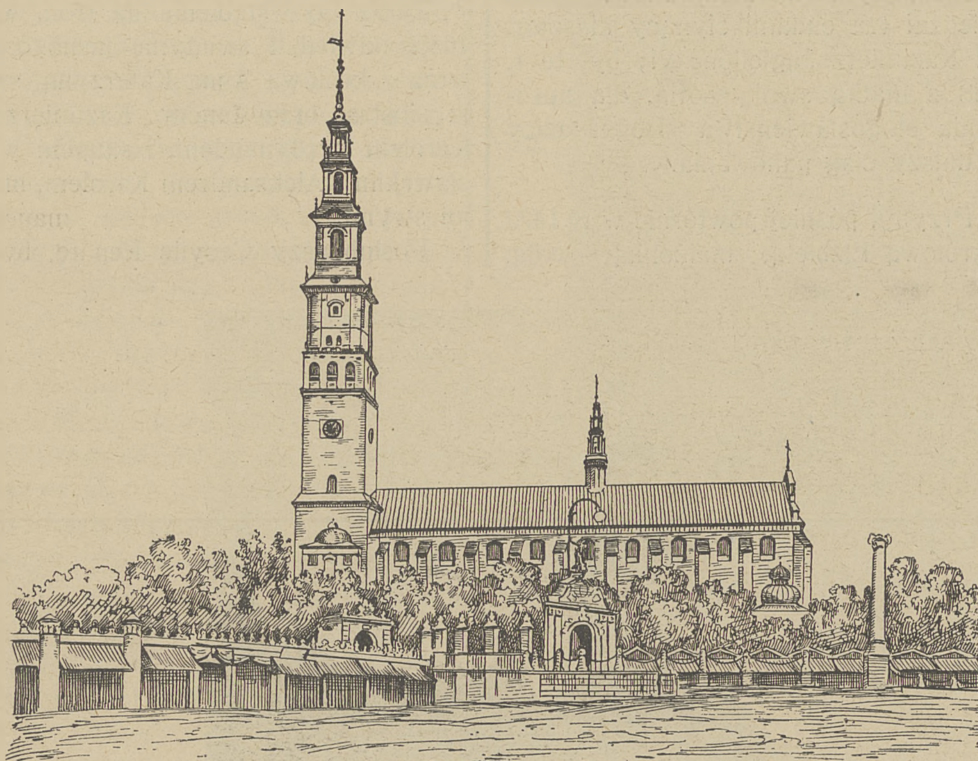
Nakoniec do wspomnień historycznych Częstochowy należy, iż w osta-

Do kościoła OO. Paulinów przytyka wieża Jasnogórska. Pierwotna zgorzała w r. 1690. Zaraz zbudowano nową; wykończono ją w r. 1718. Miała wysokości 160 łokci. Na szczycie był zegar czterotarczowy i złocona bania, objętości 1 i pół korca, chorągiewka i olbrzymi kruk z blachy; prócz tego zdobiły ją 4 statuy Świętych.

Dnia 15 sierpnia 1900 zgorzała wieża od iskry, zaniesionej od sztucznych ogni, z niej produkowanych. Gruzy spadły na podwórze klasztoru, nikt nie doznał uszkodzenia. Inżynierowie stwierdzili, że pożar był raczej szczęściem, wieża bowiem miała wadliwą podwalinę i byłaby musiała runąć. Staraniem obecnego Przeora, O. Rejmana, została odbudowaną ze składek pobożnych, które zewsząd wpływały. Dokonali odbudowy budowniczowie: Dziekoński, Odrzywolski i Szyller. Ukrokwienie jest metalowe. Na wieży umieszczono nowy zegar i rodzaj organ, składających się z 36 dzwonów.

* * *

tnich czasach Fryderyk Wilhelm II., król pruski, r. 1793, Fryderyk August, król saski, książę warszawski w r. 1810, podwakroć cesarz Aleksander I. w latach 1820 i 1822, a w r. 1847 Wielki Książę Konstatny Mikołajewicz, odwiedzali przybytek N. Panny Częstochowskiej.



Widok klasztoru jasnogórskiego i nowej wieży, zbudowanej po ostatnim pożarze.

* * *

Zakon Ojców Paulinów, których najsławniejszą w Polsce siedzibą jest klasztor na Jasnej Górze — istnieje od szeregu wieków, nie jest wszakże pochodzenia polskiego.

Regułę zakonną dla pierwszych pustelników św. Pawła, czyli Paulinów, napisał w r. 1215 węgierski biskup Pięciu Kościołów, ksiądz Bartłomiej.

Zrazu mała garstka bogobojnych mężów przyjęła tę regułę, lecz gdy z biegiem lat się wzmogła, wystawiła w miasteczku węgierskiem, Potach, klasztor skromny i ubogi — dając początek rozgłośnemu w następnych latach zakonowi paulińskiemu.

Pierwsi ci zakonnicy w Potach, żyjąc wspólnie przyjęli strój odrębny dla siebie i wybrali sobie przełożonego.

W r. 1246 znamienity kanonik strygoński, Euzebiusz, jeden z największych lubowników życia pustelniczego, uprosił u swego biskupa, by mu pozwolono złożyć swą godność a zostać skromnym pustelnikiem w swej dyecezyi. Gdy mu biskup na to pozwolił, Euzebiusz rozdał majątek cały ubogim, a sam, wraz z garstką przyjaciół, którzy również zrzekli się godności za jego przykładem, zamknął się w jaskini, w lesie pisalijskim pod Zante.

Grono tych pustelników w tamtejszych jaskiniach, z Euzebiuszem na czele, rosło z dniem każdym, bo mieszkańcy okoliczni, zniewoleni ich świętobliwością, spieszyli do Euzebiusza z prośbą, by ich do swego grona przyjmował, co on też chętnie czynił za każdym razem.

Już w cztery lata później wystawił on kościółek w Pisali — a przy nim założył klasztor pod nazwą św. Krzyża.

Wkrótce i w Strygosie (do której to dyecezyi należała Pisala) założył biskup Władysław podobny klasztor, tylko lepiej uposażony, — a wówczas Euzebiusz zgromadził w nim swoich, coraz liczniejszych pustelników.

Następnie zwrócił się do przełożonego klasztoru w Potach z prośbą, by mu udzielono reguły zakonnej, dla Paulinów ustanowionej przez biskupa Bartłomieja, a gdy zadość uczyniono jego życzeniu, bogobojny Euzebiusz oddał i swoje klasztory pustelnikom św. Pawła, z którymi połączył się. Tym sposobem znacznie wzmocniony zakon Paulinów obrał zgodnie przełożonym swoim ojca Euzebiusza, który godność tę piastował chwalebnie aż do śmierci r. 1270.

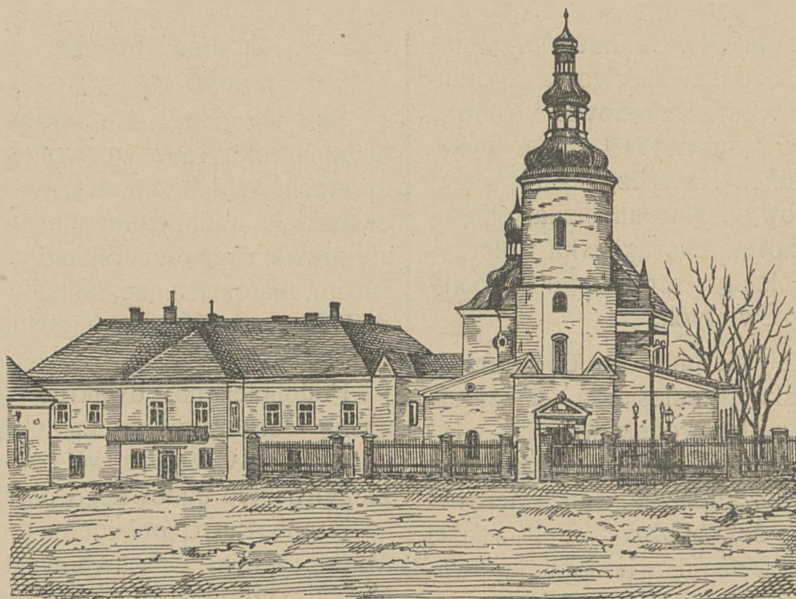
W siedmnaście lat po jego zgonie erlauski biskup Andrzej nadał tym klasztorom nieco odmienną regułę; zachowywali ją Paulini aż do czasu, gdy nuncyusz papieski, kardynał Gentilis, ustanowił dla nich nową regułę św. Augustyna.

W następnym wieku papież Jan XXII zatwierdził zakon Paulinów, którym pozwolił (r. 1317) obierać sobie generała własnego, a zarazem uwolnił ich od dziesięciny z pól, które posiadali i uprawiali własną pracą. Wówczas powstał klasztor św. Pawła i w Rzymie, a OO. Paulini osiedli nietylko w różnych okolicach Węgier, Kroacyi i Niemiec, ale przenieśli się też na polską ziemię, posiadając wszędzie przy klasztorach własne dobra, a nawet księstwa.

W samych Węgrzech było około 70 klasztorów paulińskich.

Ówczesny ubiór tych pobożnych zakonników, później odmieniony, składał się z długiego płaszcza białego i z habitu z kapturem i szkaplerzem; na nogach trzewiki; głowę okrywali kapeluszem; wygolali sobie wśród włosów korony, a nosili brody długie.

Pod koniec zeszłego wieku austryacki cesarz Józef II. zniósł zakon Paulinów w całem swem państwie (r. 1782); w owym czasie również klasztor ich w Rzymie oddano innemu zakonowi.



Kościół św. Barbary w Częstochowie, obok którego znajduje się cudowne źródło.

We Francyi pustelników św. Pawła czyli Paulinów nazwano Ojcami śmierci, ponieważ w swych klasztorach nie rozmawiali między sobą, a spotkawszy jeden drugiego, odzywali się tylko w



Obecni Ojcowie Paulini na Jasnej Górze.

te słowa: *Memento mori!* (pamiętaj o śmierci). Nosili oni habity z grubej, brudnej wełny i takież płaszcze krótkie do kolan, śpiczaste kaptury i szkaplerzę z czarnego sukna z przyszytemi białemi głowami trupiemi; chodzili w sandałach, a odznaczali się długiemi brodami.

Na naszej ziemi OO. Paulini przebywają od czternastego wieku. Pierwszym ich w Polsce, a później najsłynniejszym klasztorem był do dziś dnia czcią największą otaczany klasztor na Jasnej Górze w Częstochowie.

W różnych czasach i po za Częstochową powstawały na polskiej ziemi klasztory paulińskie, z których najznamienitszy założył w r. 1471 krakowski kanonik Jan Długosz na Skałce w Krakowie; i to miejsce dla nas święte, rozgłośne smutną pamiątką — tu bowiem, jak wiadomo, Bolesław Śmiały zamordował św. biskupa Stanisława, patrona naszego kraju; dzisiejsi Paulini na Skałce powierzony mają swej pieczy, znajdujący się w podziemiach kościoła, w skale wykuty „Grób zasłużonych“, gdzie spoczywa wielki powieściopisarz polski — Kraszewski, lirnik mazowiecki — Lenartowicz, śpiewak „Pieśni o ziemi naszej“ — Pol i inni, prawdziwie zasłużeni.

Prócz powyższych klasztorów OO. Paulinów w Polsce, założył r. 1455 arcybiskup gnieźnieński Władysław klasztor w Oporowie przy kościele parafialnym; dalej ks. Jakób Koniecpolski, proboszcz kościoła św. Floryana w Krakowie, nieduży klasztor pauliński w Wielgomłynach (r. 1476); w Wieruszowie sędzia ziemi wieluńskiej, Bernard Wierusz, ufundował r. 1401 drewniany a zmienił go na murowany w 1680 prowincyał księży Paulinów, ks. Jaroszewski; w Konopnicy powstał klasztor r. 1637, ufundowany przez Hieronima z Krakowa Konopnickiego, kasztelana Siewierskiego; później podobny klasztor założył r. 1678 we Włodawie Ludwik Pociej, podkomorzy brzesko-kujawski, następnie wielki hetman księstwa litewskiego; a w r. 1686 w Leśnie skarbnik orszański, Kazimierz Michałowski. Wreszcie sami księża Paulini w r. 1706 ufundowali pod Żarkami jeszcze jeden swój klasztór w Leśniowie.



Popielec.

Czas szybkim prądem płynie,
Wciąż naprzód stawia krok,
Godzina po godzinie,
Gdzieś w szary schodzi mrok.
Już ucichł gwar ochoczy,
Co tańcem brzmiał z pod strzech,
Łzą skruchy zaszły oczy
I z ust znikł płochy śmiech.
Och, w zabaw rozhoworze
Swą śmierć któż wspomni rad?
O, wybacz, wybacz Boże,
Że tak nas nęci świat!
Rozmyślań przyszła chwila,
Więc skłaniam głowę mą,
Żal usta mi rozchyla
I skruchą wargi drżą:
Z prochu powstałam, Panie,
I w proch znów zmienię się,
Lecz duszy zmartwychwstanie
Daj Boże, błagam Cię!
Mej myśli, Jezu Chryste,
Daj śnieżno białą głąb,
Pragnienia daj przeczyste
I blaskiem łask ją skąp.

Paula Wężyk.



Śmierć Jana Tenczyńskiego.

Do obrazu albumowego Jana Matejki.

„Jako świat światem — nie będzie Niemiec Polakowi bratem!“... znane to przysłowie; nie od dziś, ani od wczoraj wiedzie swój początek. Wśród całego wątku dziejów Polski plącze się nić bezustannych zwad, sporów i wzajemnych niechęci. Nie tylko od zachodu nawała niemiecka dawała się Polakom we znaki — we wnętrzu kraju nieraz też Niemcy wichrzyli i gwałty wyprawiali. Historya miasta Krakowa dużo o tem mówi. Oto jeden z tego rodzaju wypadków.

W połowie 15-go wieku mieszkał w Krakowie Jan z Rabsztyna Tenczyński, „wielki chorągiewny“ Króla Jegomości. Wówczas Niemcy w Krakowie rej wodzili. Wprawdzie na starostwie zasiadał Mikołaj Pieniążek, który hardość niemiecką starał się trzymać w ryzach, ale rada miejska prawie z samych Niemców się składała. Tenczyński z Niemcami od dawna miał „na pieńku“, nieraz też z nim zwady wiedli. Podobno, jako ślady w kronikach wskazują, rajcy krakowscy, Walter Kisling i Mikołaj Kidlar, umawiali się z mieszczanami, aby przy nadarzonej sposobności zabić Tenczyńskiego. Okazya niebawem się zdarzyła. W dniu 16 lipca, roku 1461 Tenczyński udał się na przedmieście krakowskie, Kleparzem zwane, pono od tego, że tam od dawien dawna płatnerze mieszkali, co się klepaniem zbroic zajmowali.

Tenczyński zaszedł do płatnerza Klimunta, Niemca, który miał mu pancerz wykuć nowy. Czy to z powodu, że pancerz nie był jeszcze gotów, czy też z innej przyczyny przyszło do zwady. Klimunt wybiegł z domu swego, wszczynając alarm taki, że wnet zbiegła się koło niego ciżba mieszczan kleparskich i podjudzana przez Klimunta, jako i innych, rzuciła się na Tenczyńskiego. Wielki chorągiewny szukał schronienia w poblizkim kościele św. Floryana i ukrył się w zakrystyi. Ale i tam wpadli za nim rozbestwieni Niemcy, Tenczyńskiego na śmierć utłukli, a kilku księży, stojących w jego obronie poranili.

Z Tenczyńskim jednak sprawa nie była łatwa. Chociaż Niemcy odwoływali się do Wrocławia, którego radę miejską za swą zwierzchność uważali, pomimo to, za staraniem syna zamordowanego,

sześciu mieszczan ścięto na zamku krakowskim a kilku innych w Rabsztynie więziono.

Na tle zdarzenia tego Matejko odtworzył jeden z najpiękniejszych swych obrazów, którego reprodukcyę zamieszczamy na rycinie albumowej.



Paweł Margueritte.

Gdyby nie dziecko...

(Nowela z francuskiego).

Hrabia d'Ylette zjawił się pierwszy na miejscu spotkania, w ogołoconej z liści alei parku Moncau.

W parku nie było prawie nikogo, w alejach bardzo rzadko można było spotkać spacerujących, to też pustka ucieszyła hrabiego.

Przechadzał się powoli, oglądając się dokoła. Oczekiwana przez niego pani de Mer spóźniała się bardzo. Hrabia ciągle zapytywał siebie, czy przyjdzie? Z wielkim trudem udało mu się otrzymać od młodej kobiety przyrzeczenie, namówić ją... na to banalne spotkanie w publicznem miejscu, na spotkanie nie kompromitujące jej. Hrabia zaczął prowadzić szaloną, pełną niebezpieczeństw grę, dzięki czemu słynąca ze swej nieskazitelnej cnoty, piękności i elegancyi, pani de Mer poświęcała wszystko. Przytem hrabia był przyjacielem jej męża. Lecz on nie zastanawiał się nad niczem. Wczoraj w buduarze pani de Mer, która przyjęła go sama, zdobył się na śmiały krok i wyznał jej swą miłość, o której, co prawda, pisał jej już przedtem w listach pełnych ognia i namiętnych błagań; ona przystała na tę schadzkę ulegając suggestyi, poddając się magnetycznemu wpływowi, jaki wywierał na nią ten młody chłopak, namiętny, słynny ze swych pojedynków i miłosnych przygód.

Oczekując na nią, hrabia rozkoszował się tą cierpką słodyczą pierwszego spotkania, podczas którego pani de Mer powinna ukazać się wzruszona, idąca szybko ze spuszczoną główką i twarzą ukrytą pod gęstą woalką z płonącemi policzkami i prześlicznym wyrazem wzruszenia na twarzy, wywołanego strachem i wyrzutami sumienia.

Wreszcie ukazała się postać kobiety. Hrabia poczuł, że serce jego zlekka zadrżało. Lecz nie... to nie ona!

Ależ naturalnie, że to ona! Bardzo spokojna na pozór pani de Mer ukazała się rzeczywiście w końcu alei, prowadzącej do umówionego miejsca. Szła powoli, prowadząc za rączkę Rajmunda, swego czteroletniego synka, z długiemi jak u dziewczynki włosami. Na widok dziecka hrabia skrzywił się nieznacznie. Czy nie przyszło jej czasem na myśl odegrać rolę młodej matki spacerującej ze swoim synem, na wypadek spotkania się ze znajomymi, albo może rachuje na obecność, na opiekę jego niewinnych oczu, patrzących na nią, i na protekcyę tego niewinnego świadka w chwili, gdy trzeba będzie powstrzymać zbytni zapał swego towarzysza. — W każdym razie obecność kogoś trzeciego rozczarowała hrabiego.

Gdy pani de Mer dostrzegła hrabiego, ciemny rumieniec zalał jej policzki, czyniąc ją niezmiernie pociągającą. Młody człowiek prędkim krokiem poszedł na spotkanie idącej, ukłonił się i ucałował synka.

— Jaka pani dobra i jaki jestem wdzięczny pani za to — przemówił.

— Pobiegaj troszkę, mój drogi — zwróciła się pani de Mer do syna.

Posłuszny Rajmund zaczął szybko biegać po alei, oglądając się ciągle na matkę i bojąc się ją stracić z oczu. I bawiąc się, oddalił się zbyt daleko.

— Rajmundzie, Rajmundzie! — krzyknęła pani de Mer — nie oddalaj się zbyt daleko.

A przecież dała sobie słowo nie wypuszczać rączki syna ze swojej ręki. Myślała, że w jego obecności znajdzie w sobie dosyć siły, aby odmówić prośbom hrabiego; znalazłaby tyle mocy, aby mu powiedzieć: „Wszystko to jest sen, zapomnij o tem. Mam obowiązki, powinnam nosić z godnością nazwisko męża. Rozstańmy się i nie spotykajmy się więcej.“

Lecz cóż to się stało, że na widok hrabiego, pod jego badawczym wzrokiem, na dźwięk jego głosu — opuściła głowę zwyciężona, bezsilna? Dlaczego czuje się tak dziwnie upokorzoną, gdy ogarnia ją słodkie i zarazem dręczące uczucie. Idzie teraz okok swego towarzysza, który przemawia do niej swoim miłym, ciepłym głosem, nie spuszczając z jej twarzy ciemnych, głębokich oczu.

— Usiądźmy choć na chwilkę — błagał, zwracając się do młodej kobiety. — Przecież jesteśmy sami. Mam pani tak wiele do powiedzenia.

I mówiąc to, wziął rękę swojej towarzyszki, która po krótkim oporze uległa jego prośbie. Brzeg skały, pokryty mchem, zasłaniał młodych ludzi od spojrzeń przechodniów.

— Kocham panią, kocham nad życie! — mówił hrabia.

I zaczął jej opowiadać całą zmyśloną historyę przeżytych cierpień; opowiadał pani de Mer o tygodniach i miesiącach całych swojej miłości do niej, o miłości, z której nie zdawał sobie sprawy i która obecnie przeszła w gorące uczucie. Czyż ona nie ma dla niego litości? Wydaje mu się taką dobrą i współczującą. Czyż pozostawi go męczarniom, które się nigdy nie skończą?... Próbował unikać z nią spotkań, lecz zdala od niej nie może żyć, jest mu niezbędnie potrzebną, jak powietrze do życia. Jeśli ona go odrzuci — pozostanie mu tylko jedno: odebrać sobie życie... Lecz nie, ona mu nie odbierze nadziei, błaga ją przecież o taką drobnostkę za swoje uwielbienie, prosi ją tylko o odrobinę miłości!...

I mówiąc tak, hrabia wierzył w swoją szczerość, upojony własnemi słowami, opanowany gorączką, jak myśliwy, gotujący się, aby zastrzelić sarnę.

Pani de Mer zaczęła się poddawać, słabnąć, lecz rzuciwszy okiem niespodzianie, zaczęła się rozglądać dokoła ze zmieszaniem i niewidząc swego dziecka, krzyknęła głośno:

— Rajmund!

Chłopak zniknął.

Biegając po alejach parku i wzywając z trwogą syna, podnosząc się na wystający brzeg skały i oglądając z rozpaczą dokoła, pani de Mer miała wygląd osoby nieprzytomnej.

Hrabia towarzysząc jej w poszukiwaniach dziecka, był mocno wzruszony i zawstydzony. Pani de Mer była w rozpaczy.

— Ależ niech się pan poruszy, proszę szukać, biegnij pan w tamtę stronę, ja tu poszukam — krzyknęła ostrym, nerwowym głosem do hrabiego, nie patrząc na niego.

Młody człowiek udał się posłusznie we wskazanym kierunku, zapytując stróżów i spotykanych rzadko przechodniów. Powrócił opanowany jednocześnie strachem i nieprzyjemnem uczuciem śmieszności tej roli, w jakiej się znalazł.

Na widok hrabiego, pani de Mer wyprostowała się, obrzuciła go spojrzeniem i odwracając się do niego plecami, wykrzyknęła:

— Mój Boże! Nic i nic. Dziecko napewno ukradli!

I nieszczęsna matka poszła szybkiemi krokami naprzód.

— Ależ to byłoby okropne — powtarzał — niech się pani uspokoi, znajdziemy go napewno w cyrkule...

Młoda kobieta odwróciła się niespodzianie.

— Ach! pan jeszcze jesteś tu? Więc niechże pan szuka. Mój Boże, po co,

po co przyszłam tutaj! Nie mogę patrzeć na pana, jesteś pan wstrętnym!

Za ogrodzeniem parku zebrała się gromada ludzi.

— Czy nie widział ktokolwiek małego chłopczyka z długiemi włosami, w marynarskiem ubraniu — powtarzała pani de Mer zwracając się do ludzi.

Lecz nikt nie widział chłopczyka. Stójkowy prosił, aby opisać mu jeszcze raz strój i wygląd dziecka i tylko pokręcił przecząco głową. Pani de Mer wróciła do parku, myśląc wciąż o słowach powiedzianych przez jakąś otyłą kobietę, o słowach, od których zadrżało serce.

— Jak można zgubić swoje dziecko! Nie kochając go chyba...

— Błagam panią, pozwól mi odprowadzić się do domu — mówił hrabia — albo wracaj pani sama. Przysięgam pani, że znajdę Rajmunda. Nie mógł zginąć nigdzie.

— Ależ mój mąż! — wykrzyknęła młoda kobieta, załamując ręce — co powie, gdy dowie się, że Rajmund zginął. Jakaś stara kobieta cały czas kręciła się koło nas... jeżeli ona... Ach, Boże, to jest nauką dla uczciwej kobiety! — i pani de Mer niegrzecznym, rozpaczliwym ruchem ręki odsunęła hrabiego.

— Zostaw mię pan — powiedziała — odejdź, przysięgam panu, że powiem o wszystkiem mężowi, proszę nie iść za mną, zabraniam panu!

Hrabia zatrzymał się zdumiony, zrozpaczony i poszedł tylko z daleka za panią de Mer. Młoda kobieta skierowała się ku domowi, szła szybko, chwiejnym krokiem, drżąc na całem ciele. Wreszcie znalazła się przed swoim domem, w chwili, gdy hrabia zdecydowany na wszystko, gotów do odpowiedzialności za swój postępek, chociażby za drogą cenę, stanął przy niej. Pani de Mer z całej siły pociągnęła za dzwonek.

Drzwi otworzyły się, lokaj i dwie służące rzuciły się na jej spotkanie.

— Rajmund jest w domu, proszę pani! — Żołnierz spotkał go na drodze i przyprowadził do domu.

— Gdzież on jest! — krzyknęła pani de Mer i upadła zemdlona. Służące zaczęły ją cucić, a lokaj zamknął drzwi przed nosem hrabiego i innych ciekawych osób.

To nieoczekiwane zakończenie wydało się hrabiemu bardzo logicznem. Nie spotykał już pani de Mer i dla zupełnego leczenia się z tej miłości, udał się w podróż.

Chociaż o głodzie, choćby i o chłodzie
Byleby zawsze z sumieniem swem w zgodzie.

P. Wężyk.



Do dziewczęcia.

Przestań, dziewczę, płakać, szlochać,
Czy ci to pomoże?
Nie pisuje, nie chce kochać —
Nie smuć się, nieboże!

Żal ci złudzeń twych, powiadasz,
I tej wiary w niego;
Męskich uczuć ty nie zbadasz...
Szkoda serca twego.

Mężczyzna — to chorągiewka,
Nowość każda nęci:
W którą stronę wiatr powieje
W tę on się wykręci!

Zresztą ocząt twoich szkoda
Łezkami przyćmiewać,
Śmiej się, baw się, pókiś młoda,
Tobie grać i śpiewać!...

Więc precz z łzami i tęsknotą,
O nim nie myśl wcale,
Wówczas serce go zaboli
I pokocha stale.

Jest on widać, jak ów ognik
Błędny, — co ucieka,
Gdy go ścigać; — gdy zaprzestać
Dogania człowieka?

Lekceważy, gdy kochany
Niewdzięcznością płaci —
Wtedy tylko miłość ceni,
Kiedy ją utraci...

Tak to lubię! — Nie płacz więcej,
Uszanuj tem siebie,
Pokocha on tem goręcej
Stalej, wierniej, ciebie!

Marya z Krakowa.



Cień anioła.

(Legenda.)

Przed panem światów stanął z aniołów najpiękniejszy; twarz jego jaśniejsza od słońca, szata bielsza od śniegu na szczytach gór, a u ramion dwa skrzydła — dwie zorze poranne. Ale oczy — szafir i głębia nieba — pełne smutku i bólu.

I spytał go Pan:

— Czego chcesz, Cherubie?

Lecz on milczał.

I rzekł Pan znowu:

— Wiem, o co chcesz prosić i przychylę się do prośby twojej; ale rozważ jeszcze, nim stanie się zadość żądaniu twemu.

Wtedy tak mówił Cherubin promienny:

— Panie! Widziałem ją, gdy na świat przyszła jako arcydzieło ręki Twojej, gdy była u szczytu szczęścia i najwięksi z nas zazdrościli jej... I oto w nędzy ostatecznej, od wszelkiego stworzenia nieszczęśliwsza, leży na piasku pustyni, znikąd nie mając pociechy. Pozwól, o Panie, niech idę z nią, bym wzniecał w jej sercu otuchę, bym wspierał ją i dziatki jej potęgą swoją; bo nad siły moje widzieć rozpacz tej, którą umiłowałem nad siebie.

A Pan odrzekł:

— Jesteś Aniołem Moim — przestanisz nim być; jesteś Prawdą — nie będziesz nią więcej; jesteś Pięknem — przestaniesz niem być. Cieniem anioła, marą Prawdy i Piękna odtąd się staniesz; i będą złorzeczyli ci i przeklinali cię ludzie, chociaż dla nich wyrzekasz się niebios. Bo jeszcze nie przyszedł czas, aby Prawda i Piękno zamieszkały ziemię. Rozważ więc jeszcze, nim odejdziesz na wieków tysiące.

Zasmucił się duch promienny i ściemniało świetlane oblicze jego.

I spojrzał ku złotym bramom Edenu.

Tam ujrzał archanioła. Potężny a groźny, jak burza, z mieczem, z błyskawic i piorunów ukutym, bronił drogi do drzewa żywota.

I ujrzał jeszcze w pobliżu Edenu męża i niewiastę.

Nadzy, w przepaskach liścianych siedzieli obok siebie na ziemi; przez ich szeroko rozwarte, bezmyślne źrenice po raz pierwszy patrzała na świat — rozpacz.

Pierwsi ludzie, pierwsi przestępcy na ziemi...

W koło, jak okiem sięgnąć, leżała pustynia — martwa, milcząca, smutna, a straszna; straszna ogromem i milczeniem śmierci. Słońce gasło i mrok roztaczał nad ziemią zimne skrzydła.

Po nad wygnańcami, złote od ostatnich promieni słońca, unosiły się zastępy aniołów, spoglądających na nieszczęśliwych z przerażeniem; lecz nikt nie śmiał zbliżyć się do tych, na kim spoczął gniew Pański.

I rzekł stojący przed Nieskończonym:

— Niech się stanie według wyroku Twego!

I padł na twarz przed obliczem Pana światów.

A Pan odrzekł mu:

— Stało się!

I odszedł Cherubin i stanąwszy przed wygnańcami, złożył pocałunek na czole niewiasty.

Powstała, jak ze snu obudzona i rzekła pocichu do męża:

— Mężu i panie mój! Oto noc się

zbliża... Pójdźmy, a szukajmy noclegu. Za tem oto wzgórzem znajdziemy może wodę i drzewa owocowe; zapewne się znajdzie i jaskinia i trochę trawy na usłanie łoża. Idźmy, nim noc zapadnie.

Mąż podniósł się, mówiąc:

— Pójdźmy.

A ten, co był przed chwilą aniołem, rozpostarł nad nimi skrzydła tęczowe.

. . . .

Już północ minęła; szafir skrzy się krociami gwiazd, drży i sypie srebro na pustynię, upadając ze znużenia, brną po kamieniach i piasku pierwsi ludzie, pierwsi przestępcy...

— Niedługo znajdziemy owoce i wodę i nocleg — mówią do siebie.

A nad głowami ich roztacza skrzydła opiekuńcze cień Anioła, mara Prawdy i Piękna — Złudzenie.

Naj.

Wiadomości.

* **Odezwa** w sprawie zbierania zabytków etnologicznych w muzeum im. Mielżyńskich w Poznaniu. Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk nie tylko zgodził się na utworzenie osobnego **działu etnologicznego** przy prehistorycznem Muzeum imienia Mielżyńskich przy ulicy Wiktoryi 26/27, ale uwydatnił to postanowienie na walnem zebraniu ostatniem prezes tegoż Towarzystwa Najprzew. ks. Biskup Likowski, zachęcając do wczesnego zgłaszania i nadsyłania darów, aby myśl ta w nowym gmachu Towarzystwa znalazła urzeczywistnienie.

Utworzył się Komitet celem ułatwienia pracy Zarządowi.

Przedmioty i zabytki, które winny w tym nowym dziale być uwzględnione, są:

1) Wyroby tkackie ręczne: płócienne, wełniane i t. p.

2) Stroje ludowe, tak różne jeszcze niedawno w rozmaitych okolicach, męzkie, żeńskie i dziecięce.

3) Wszelkiego rodzaju ozdoby.

4) Wyroby z drzewa i kory.

5) Wyroby skórzane.

6) Wyroby z kości lub rogu.

7) Przedmioty gliniane i kamienne.

8) Wyroby żelazne, mosiężne, cynowe i z innych metali.

9) Różne sprzęty domowe, gospodarskie, ogrodnicze, muzyczne i t. p., oraz miary i wagi stare.

10) Obrazy stare ludowe i wszelkiego rodzaju świętości.

11) Przedmioty, którym lud przypisuje moc leczniczą lub których używał do zabobonów.

12) Fotografie nawet amatorskie odnoszące się do etnologii.

Wogóle wszelkie przedmioty stojące w związku z odrębnem życiem ludu, zwyczajami jego i obyczajami, zabawami i żałobą — o ile są rodzime, swojskiego przemysłu, a nie fabryczne.

W dalszym ciągu zadaniem ludoznawstwa **jest także zbieranie legend,** pieśni i przysłów ludowych. I tutaj otwiera się wdzięczne pole dla miłośników ludu naszego i jego życia. Pożądane są wszelkie zapiski i druki odnoszące się do tego, także melodye pieśni ludowych.

Ktokolwiek posiada cośkolwiek z wyżej wspomnianych zabytków lub pragnie czynny w pracy zbierania ich wziąć udział, zechce zgłosić się do sekretarza komitetu. Kto nie jest dość zamożnym, aby ofiarować tego rodzaju przedmioty bezpłatnie, winien także o tem sekretarza Komitetu powiadomić. Ułatwiają pracę i zgłoszenia gotowe formularze, których sekretarz na życzenie albo komitetowi dostarczą.

Wreszcie winniśmy zwrócić uwagę społeczeństwa, że z utworzeniem nowego działu połączone są także dość znaczne koszty, których Tow. Przyjaciół Nauk ponosić nie może. I pod tym względem zatem winniśmy apelować do ofiarności publicznej w przekonaniu, że na cel tak wzniosły datków nie poskąpi. Pisma nasze najchętniej przyjmą pośrednictwo.

Sekretarzem komitetu jest pan Kaźmierz Ruciński, architekt. Adres: Poznań, Victoria 4 pt. Nr. telef. 2490.

* **Bal prasy,** jak pisaliśmy już, odbędzie się w sobotę 20-go bm. na białej sali bazarowej. Poprzedzi go wieczornica na starej sali, w której wezmą udział panie artystki Floriani, Krajewska i K. Sawicka oraz panowie artyści: dyrektor Lelewicz, Huss, Hayek i Czaki.

Czysty dochód z wieczornicy oraz balu przeznaczony jest na fundusz emerytalny Tow. Dziennikarzy i Literatów. Cel szlachetny, urozmaicony i piękny program, wykonany bezinteresownie przez nasze najlepsze siły artystyczne, oraz liczne niespodzianki podczas balu — niewątpliwie zachęcą naszą publiczność do licznego udziału.

* **Oświadczenie!** Na uczynione mi pytanie i krążące pogłoski, uważam za stósowne odpowiedzieć, chociaż z niezmierną przykrością, publicznie. — Za pracę, tąk w Tow.: „Warta,“ jak i w Ogródkach, Salach zajęć dla dzieci, w Złotej skarbonie i t. d. **nie pobierałam i nie pobieram wynagrodzenia,** a wszystkie datki, które mi na powyższe instytucye dobroczynne osoby nadsełają, kwituję bądź to w „Dzienniku,“ lub „Kuryerze Poznańskim.“

Aniela Tułodziecka.

* **Złota Skarbona** przyjmuje drobne oszczędności i przypomina składy, w których można nabywać znaczki: St. Chmielewski, W. Berlińska 54. — J. Czepczyński, Stary Rynek nr. 8. — A. Dzieciuchowiczowa, Rybaki 6. — P. Dzikowska, Wiktoryi 16. — A. Dybicka, św. Marcin 61. — St. Dressler, Śródka-Rynek 12. — Górski, Półwiejska 32. — K. Grześkowiak, ul. Karola 2. — K. Ignatowicz, Stary Rynek 67/69. — H. Iłowiecka, Cesarza Wilhelma 23. — E. Iłowiecka, Strzelecka 23/24. — L. Kałas, ul. Forteczna 18. J. Kamiński, Następcy tronu 12. — Kantecka, św. Marcin 56. — Kosak, Wielkie Garbary 1. — J. N. Leitgeber, Wielkie Garbary 16. — T. Lewandowski, Małe Garbary 8. — Muthówna, Chwaliszewo 76. — M. Okoniewska, Teatralna 5. — W. Święcicka, Wodna 8. — Z. Śniegocki, Wielka Berlińska 63. — M. Sobkowiak, Polna 22. — J. Wolińska, Szeroka 10.

* **Ostrzeżenie.** Od pewnego czasu namawia do wychodźtwa do stanu Washington z ramienia „Mutaral Bealty Co“ współwłaściciel tej firmy pan St. Mańkowski. Wobec przedstawionego przez p. Mańkowskiego planu wychodźtwa przed reprezentantami prasy, zajęliśmy stanowisko odmowne. Mimo to, jak nas z kilku stron informują, p. M. szkodliwych dla społeczeństwa naszego zamiarów nie zaniechał i nakłonił podobno znaczną liczbę osób z kapitałem do wyjazdu do Ameryki. Podnosimy wobec tego głos ostrzegawczy i prosimy rolników naszych, aby tak w interesie własnym jak i społeczeństwa kraju dla niepewnych zysków za oceanem nie opuszczali.

Zarząd Tow. Dziennikarzy i Literatów na Rzeszę niemiecką.

* **Chleb dla swoich!** (Ogłoszenie 42-gie z dnia 10-go lutego 1909 r.) Następujący rodacy, posiadający zakładowy kapitał, znajdą bez współzawodnictwa swoich dobre utrzymanie: 1) adwokat, 2) lekarz, 3) drogerzysta, 4) kupiec żelaza, 5) bławatnik (musi dom kupić), 6) kupiec towarów krótkich, (musi dom nabyć, cena 15,00 marek), 7) restaurator i kupiec towarów kolonialnych, (wpłata 5—6000 mrk.) 8) kupiec stroju i towarów krótkich, 9) piekarz, 10) fryzyer, 11) spedytor, 12) krawiec, 13) szewc, 14) siodlarz, 15) blachnierz, 16) kołodziej, 17) kupiec skór i przyborów szewskich, 18) akuszerka. — Bliższych informacyi udzieli biuro „Straży.“ — Adres: Dr. Tadeusz Jaworski, Poznań-Posen. — Prosimy o znaczek 20 fenygowy na odpowiedź.

* **Chleb dla swoich.** Korzystnie z rąk **obcych** do nabycia:

1) **Gościniec** z 6 morgami ziemi, dobremi budynkami, w lesie przy szosie, z stacyą kolei żelaznej, blizko miasta powiatowego cena 31 tys., zaliczki 7 tys. marek.

2) **Folwark** 440 morgowy, z znakomitą glebą i zupełnem inwentarzem tuż przy stacyi kolejowej, zaliczki potrzeba 60 tys. mrk.

3) **Folwark** 700 morgowy z dobrą glebą, wpłata wedle umowy.

Wskazówek bliższych udzieli **bezinteresownie** starosta „Straży“ B. Bardzki Wichulec p. Najmowo Pr. Zach.

* **Jutrosin.** Małżonkowie tutejsi Franciszek i Maryanna z Langnerów obchodzili dnia 12-go b. m. uroczystość srebrnego wesela. Szczęść im Boże w dalszem życiu; oby się doczekali co najmniej złotego wesela!

Przyjaciel.

* **Z Kunowa** w powiecie śremskim odebraliśmy od miejscowego ks. proboszcza pokwitowanie z ofiar, które złożono na budowę tamtejszego kościoła. Pokwitowania, ogłoszonego przez codzienne gazety, nie zamieszczamy dla braku miejsca. W końcu dziękuje ks. proboszcz Jezierski ofiarodawcom w następujących słowach: „Za złożone ofiary serdeczne skła-

dając „Bóg zapłać“ proszę gorąco o dalsze łaskawe datki.

Na intencyą ofiarodawców odprawia się co miesiąc msza św.“

Kunowo, w lutym 1909.

(Kunthal, Kr. Schrimm).

Ks. prob. Jezierski.

* **Berlin,** dnia 12. II. 09. Wystawa wyrobów dla pokrycia dachów odbywa się obecnie w Berlinie na sali Filharmonii przy Koepenickstrasse. Wystawione są wszelkiego rodzaju preparaty i wyroby, służące do pokrycia dachów, najnowsze wynalazki i urządzenia, modele, rysunki i sposoby pokrywania dachów, wzory obliczania mechanicznego oraz różne sposoby zakładania piorunochronów, nadesłane przez królewską szkołę fachową w Glauchau. Pomiędzy ostatniemi znajdują się też prace naszych rodaków pp. Edwarda i Czesława Wolniewiczów z Kostrzyna, którzy odbywają studya w pomienionym instytucie w Glauchau.

* **Z Prus Zachodnich. Wiec „Straży“ w Nieżywięciu** w celu zawiązania lokalnego stowarzyszenia na parafie Duży Kruszyn, Brudzawy, Piwnice i Osieczek odbędzie się w **niedzielę** 21-go b. m. o godz. 4-tej po poł. na sali p. Pawłowskiego. O liczny i punktualny udział w zebraniu prosi uprzejmie szanowne rodaczki i rodaków miejscowych i z okolicy.

Bolesław Bardzki, starosta.

Nekrologia.

† **Ś. p. ks. Tomasz Konopiński,** proboszcz w Borzęciczkach, umarł 12-go b. m. Zmarły pracował także piórem i przed trzema laty wydał drukiem opis kościoła w Borzęciczkach. — **Ś. p. ks. Odrowski,** dziekan i proboszcz przy kościele św. Jakóba w Toruniu, umarł dnia 13-go b. m. W życiu społecznem brał zmarły żywy udział, jako członek komitetu wyborczego i delegat. — Był też członkiem Towarzystwa Naukowego i okazał zawsze serce litościwe wobec ludzi potrzebujących pomocy. I w życiu towarzyskiem odznaczał się wielką uprzejmością, która to zaleta zjednała mu licznych przyjaciół nie tylko w parafii, lecz także daleko po za jej granicami. — **Ś. p. Bolesław z Wybranowa Swinarski,** dnia 10-go b. m. w Gostyniu. — **Ś. p. Zofia z Koperskich Bytońska,** dnia 9-go b. m. w Poznaniu na Jeżycach. — **Ś. p. Stanisława z Sikorskich Żupańska,** dnia 10-go b. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Andrzej Schneider,** gospodarz z Dębca pod Poznaniem, dnia 9-go b. m. — **Ś. p. Cecylia z Opalskich Jankowiakowa,** żona profesora, dnia 11-go b. m. w Śremie, w 66-tym roku życia. — **Ś. p. Marya Meissner,** dnia 10-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 56. — **Ś. p. Zachareusz Michałowski,** dnia 10-go b. m. w Opolu na G. Śląsku, w 83-cim roku życia. — **Ś. p. Jan Nepomucen Felicki,** dnia 13-go b. m. w Koźminie, przeżywszy lat 80. — **Ś. p. dr. Stanisław Trepiński,** lekarz praktyczny w 43-cim roku życia w Wejherowie, w Prusach Zachodnich. Jako lekarz cieszył się wielką wziętością; szanowano go ogólnie jako zacnego i prawego człowieka; jako obywatel Polak zasłużył się przyczyniając głównie do powstania w Wejherowie na Kaszubach „Domu katolickiego“ dla rodaków miejscowych i miast pobliskich; był też współzałożycielem Tow. handlowego „Merkur“ i wiceprezesem rady nadzorcz. „Banku kaszubskiego“ w Wejherowie. — **Ś. p. Stanisław Smierzchalski,** dnia 13-go b. m. w Bydgoszczy, w 60-tym roku życia. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Panu Józefowi Z. w Krakowie.** — Czterowiersz zamieszczony na kopercie był z pewnością figlem, wypłatanym najprawdopodobniej na poczcie po tamtej stronie granicy. Cieszy nas, że wysłana Szan. Panu nagroda „będzie dlań szacowną pamiątką.“ Zasyłamy serdeczne pozdrowienie.

— **Spółce rolników parcelacyjnej w Poznaniu.** — Sprostowania nadesłanego, dotyczącego subhasty folwarku Lulkowa pod Trzemesznem, a spowodowanego ogłoszeniem artykułu „Lecha,“ nie zamieściliśmy, ponieważ wogóle w tej sprawie, o której publiczność jest poinformowaną należycie z gazet codziennych, nic nie pisaliśmy.

— **„Rywalce.“** — A cóż my poradzimy, że „Bronia“ się zaręczyła, a Szan. Pani nie! Każda orze, jak może i na siebie zważa, ażeby się dostać z „chłopcem“ do ołtarza!...

— **Panu K. W.** — Z żartów ani jeden nie nadaje się do druku.

— **„Ciekawemu.“** — Są wyrazy: „granica“ i „zagranica,“ jedzie się więc „za granicę“ i zwiedza się „zagranicę. W tych przypadkach mieści się reguła, o którą Szan. Pan zapytuje.

— **Czytelnikowi na prowincyi.** — Autorka pięknych w „Pracy“ zamieszczanych wierszy, pani Paula Wężyk, jest Wielkopolanką; mieszka obecnie w Poznaniu.

— **Panu Stefanowi Ł. w O.** — Uznajemy dobre chęci Szan. Pana, ale nadesłanego wiersza p. t. „Dobre serce Stasia“ zamieścić nie możemy, gdyż jest zbyt słaby co do formy, rymu i rytmu.

Kalendarzyk historyczny

Dnia 21-go lutego 1544 koronacya Zygmunta Augusta. — 1569 śmierć hetmana Mikołaja Sieniawskiego. — 1574 koronacya Henryka Walezyusza. — 1613 Marya Mniszchówna utopiona przez Moskali.

Dnia 22-go lutego 1382 założenie Częstochowy. — 1387 chrzest Litwy.— 1607 odnowiony rokosz Zebrzydowskiego.

Dnia 23-go lutego 1766 śmierć Stanisława Leszczyńskiego. — 1820 śmierć poety Felińskiego. — 1834 śmierć jenerała Samuela Różyckiego.

Dnia 24-go lutego 1582 zdobycie Dorpatu. — 1793 manifest króla pruskiego przeciw Gdańskowi.

Dnia 25-go lutego 1563 zajęcie Połocka przez Moskwę. — 1731 hołd księcia kurlandzkiego. — 1831 krwawa rozprawa z Moskwą pod Grochowem. — 1832 zawiązanie w Londynie Towarzystwa literackiego.

Dnia 26-go lutego 1383 na sejmie w Sieradzu Jadwigę królową ogłaszają.— 1450 Władysław Jagiełło rozprzestrzenia przywileje szlacheckie. — 1654 Moskwa prosi o pokój. — 1801 przymierze Augusta II. z carem Piotrem w Birzach.

Dnia 27-go lutego 1290 zwycięztwo Władysława Łokietka nad Konradem. — 1369 traktat zaczepny i odporny z Węgrami w Budzie. — 1380 zawarto traktat z mistrzem inflanckim. — 1670 ślub Michała Wiśniowieckiego z Eleonorą Austryaczką w Częstochowie. — 1837 zamordowany w Wilnie Szymon Konarski. — 1846 pobożna procesya przez Austryaków na Podgórzu wymordowana.

Humor i satyra.

Po niebezpieczeństwie.

Rzuciłem się na twe fale:
O karnawale!
A jednak w tanecznym szale
Jam myślał o wodnej skale,
Co kawalerstwu małżeństwem
Czyni — finale...

I przepłynąłem burzliwie,
Ale szczęśliwie!...
Oto znów siedzę przy piwie
W przyjaciół moich ogniwie:
Bez żony i bez — teściowej,
Aż się sam dziwię...

* * *

U kupców.

Pani. Proszę pana... czy pan ma taką samą kawę, jak pański konkurent naprzeciwko?

Kupiec. Zupełnie taką samą, łaskawa pani. Sprowadzam ją z tego samego źródła, co i on.

Pani. O... dziękuję panu. To właśnie chciałam wiedzieć... *(Odchodząc),* bo jego kawa jest fatalna! Do widzenia!

* * *

Gość. Cóżeś pan mi powiedział, że to prawdziwa kość słoniowa?

Kupiec. Prawdziwa, panie dobrodzieju!

Gość. Byłem u tokarza z zapytaniem: To fałszywa kość.

Kupiec. Panie dobrodzieju... chyba, że ten słoń miał fałszywe zęby!

* * *

Kupiec. Ślicznego pieska ma pani dobrodziejka... Nadzwyczaj miłe zwierzątko.

Pani. To nie jest mój pies... Widocznie przybłąkał się tu za mną.

Kupiec. Taak?... A pójdziesz ty precz — wstrętne bydlę jakieś! Marsz!

Ze świata medycyny.

Lekarz. Chłopak najadł się niezawodnie niedojrzałych owoców.

Matka. Tak jest, panie konsyliarzu!

Lekarz. I boli go głowa?

Matka. Tak jest, panie konsyliarzu.

Lekarz. Bo popsuł sobie żołądek.

Chłopak. Ej to nie... tylko, że mnie ojciec zwalił za to kijem po głowie.

* * *

Lekarz. Te krople zażyje pan jutro rano, żeby pan miał czczy żołądek.

Urzędnik tramwajowy. O... to ja mogę je zażyć i dziś wieczorem, bo dziś mamy już ostatniego...

* * *

Matka. Darmo wołaliśmy tego młodego doktora do Władzi... Ledwie, że ją dotknął.

Ojciec. Głupstwa pleciesz! Przecie inaczej nie domaca się bicia pulsu.

Matka. Ty mnie powiesz! Gdyby chciał, toby ją ścisnął za rękę, żeby aż kwikła... Ale widać, że nie dba o nią... Nie podobała mu się!

* * *

— Cóżeś tak smutny, doktorze?

— Umarł mój gospodarz.

— Byliście to takimi przyjaciółmi?

— Iii... to nie; ale miałem od nowego roku zostać jego domowym lekarzem. Jak pięknie mógł sobie jeszcze ze dwa lata chorować!... A ta paskudna śmierć zabrała mi go tak nagle!

Troskliwość p. Izydora.

Pani Regina. Izydor, u nas tak zimno, co ja całkiem szczękam z zębami!

Pan Izydor (troskliwie). Reginka! ja tobie coś powiem: Ty potrzebujesz wyjąć ten nowy garnitur zębów, bo on się jeszcze popsuje!...

* * *

Z dentystyki.

— Jakie zęby pojawiają się najpierw u człowieka?

— Mleczne.

— A jakie najpóźniej!

— Fałszywe!

* * *

Pewny siebie.

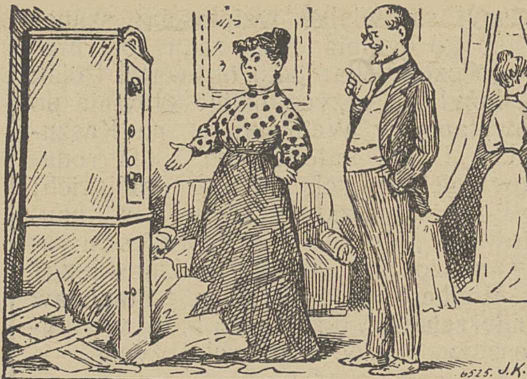
— Jestem Mizdrzykiewicz — jak godność pańska?

— Pan bankier Izydor Fejnerbote.

— Bardzo mi przyjemnie.

— No, ja myślę.

* * *



Podsętpny.

Pan Blagierski sprowadził kasę ogniotrwałą. Gdy ją rozpakowano i ustawiono w salonie, pyta z przerażeniem żona, po co ta kasa, skoro grosz za groszem goni, nawet marnych 10 marek nie zaoszczędza przez miesiąc.

Mąż uspokaja żonę i powiada: — Tak, pieniędzy wprawdzie nie mamy, ale mamy na wydaniu cztery córki. Żaden z kawalerów nie oświadczył się dotąd o nie. Gdy jednak zobaczą wielką kasę, to pomyślą sobie, że posagi w niej są, i nabiorą ochoty do żeniaczki!

* *

Na raucie.

Młodzieniec bawi naiwną panienkę.

— Prawda pani, że zima tegoroczna całkiem niepodobna do przeszłorocznej?...

— O tak!... Swoją drogą niech pan pomówi z mamą...

* * *

Podobieństwo.

— Wiesz pan, przypominasz mi pan wielce jednego znajomego.

— Z czego?... Można wiedzieć?

— Tak samo, jak pan, winien mi od dwóch lat 20 marek i wcale nie myśli o oddaniu...

Szarada.

Ułożył czytelnik „Pracy“, Jan Badura z Rożdzienia na Górnym Śląsku.

Noc jasna i nieba nie plami chmur smuga,
W przestworzu gwiazdeczka drży **pierwsza** [*i* **druga**,
Oddycham spokojnie i słodko i błogo,
Nie mając dziś wstecznych **drugich** *do* [*nikogo.*
Przed okiem mej duszy, jak księga otwarta,
Widnieje w oddali ta **trzecia** *i* **czwarta**.
Więc dąży tam moja myśl tęskna, tułacza,
Gdzie cała się w blaskach promiennych roztacza,
Gdzie stale najwyższa harmonia drga ducha,
Panuje modlitwa, pokora i skrucha.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 27-go lutego włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nadesłały dokładne rozwiązanie szarady.

Rozwiązanie arytmogryfu zamieszczonego w nr. 6-tym:

S H A A T W R G K K A L
K E N R R O E E O A N A
A L D C A G F N N T D D
R I A H N U R E O A R Y
B O L E S Ł A W P R U S
I T U L W O K S A Z S M
M R Z A A W T K C Y Z I
I O Y U A I O I K N O T
R P A S L E R E I A W H

Bolesław Prus.

Dobre rozwiązanie nadesłali: z Poznania pp. T. Menclewski, Józefa Skotarek, St. Generowicz, A. Jagielski, St. Kropaczewski, St. Neyman, Z. Krajewski, L. Cabański; z prowincyi: pp. H. Palczewska ze Środy, M. Maliński ze Środy, K. Wiliński z Nakła, A. Nendoszewski z Wągrówca, F. Chytry z Kobylina, M Langerówna i S. Rychlicki z Krotoszyna, H. Dobieliński z Rawicza, A. Gwóźdź z Zielińca, J. Maślińska z Redgoszczy, J. Spychalska z Roska, W. Szejner ze Słomowa, Fr. Nawrocka z Żabiczyna, H. Kinowska z Rynarzewa, Jan Wachowski z Niechanowa; z Prus Zachodnich: pp. J. Czajkowski z Kazanic, M. Pawłowska z Zakrzewa, H. Kruczkowski z Drzycimia; z Górnego Śląska: pp. Jan Badura z Rożdzienia, K. Glazowski z Niem. Piekar, A. Gross z Łabęd; z Śląska austryackiego: pp E. Malinowska z Jabłonkowa, A. Kopel z Zebrzydowic górnych; z Galicyi: pp. M. Świtkowska z Krakowa, O Bernardyn M. Rzecznik ze Lwowa, Br. Ludwik Bach z Mogiły pod Krakowem, Jan Tatkowski z Łąki; z obczyzny: pp. S. Dyner z Berlina, T. Matysiak z Herne i B. Welc z Heiligenkreuz pod Wiedniem.

Nagrodę otrzymali: pp. Stefan Kropaczewski z Poznania, H. Dobieliński z Rawicza i M. Świtkowska z Krakowa.



Czarna ręka.

Powieść amerykańska. Tłumaczyła z angielskiego **E. M.**

9

(Ciąg dalszy).

Przed obiadem ogólna panowała cisza. Dwóch albo trzech majtków wyszukało sobie „miękką deskę“ i spało na niej w najlepsze. Inni siedzieli lub leżeli w najrozmaitszych pozycyach, palili krótkie fajki i rozmawiali półgłosem. Jakiś tęgi, silny majtek, o twarzy nieomal bronzowej i tatuowanej szyji i rękach, nacisnął biskajską czapkę z fantazyą na bakier i mówił żywo, wymachując rękami na wszystkie strony.

— Djabelnie przyjemna sprawa, gdy na pokładzie nikogo nie ma! Możemy robić, co nam się podoba.

— No, tak zupełnie nikogo nie możesz mówić. Skrzypek został przecież — odpowiedział inny.

— Piekielnie mi to obojętne. Nie cenię go wyżej, jak każdego innego szczura ziemnego, którego licho raz na okręt przyprowadza. Dziwię się tylko, że milord się wogóle z takim motłochem zadaje.

— Przecież mu starszy uratował życie!

— Ba, co tam! Mógł by mu za to czek wcisnąć w rękę i puścić w świat! Gdybym ja był milordem...

— Upiłbyś się codziennie.

— Ship ahoi!

Głośny ten krzyk, rozlegający się z nadpływającego czółna i przeraźliwe gwizdanie wioślarzy, przestraszyło wszystkich. Czółno zatrzymało się przy yachcie i posłaniec z depeszą dawał znaki, aby mu papier, który trzymał, odebrano. Na rozkaz sternika zeszedł jeden z majtków na dół, wziął telegram i wręczył go sternikowi.

— Sir Wilson wróci dopiero jutro rano. Przybędzie tu w towarzystwie dwóch panów! — zawołał sternik po przeczytaniu telegramu.

Wioślarz rozśmiał się.

— Każcie zmyć yacht — rzekł — wasi ludzie nie wiedzą, co robić z nudów.

Sternik skinął głową.

— Macie słuszność — odpowiedział.

Trzy minuty później była cała załoga zajęta myciem i czyszczeniem pokładu, który już przedtem lśnił jak największą czystością.

Gościom Wilsona były hałaśliwe nawoływania majtków w najwyższym stopniu nieprzyjemnemi. Artur, leżący na kanapie w salonie drzemał, podczas kiedy Rochs siedział przy stole i pisał nuty. Gdy jeden z majtków zaczął teraz przesuwać szczotkę po drzwiach salonu, zerwał się chłopiec przerażony i obydwiema rękami schwycił się za głowę.

— Co to jest? — krzyknął. — Gdzie się podziały moje melodye?

— Cicho — rzekł Rochs ostro.

— Głowa mi pęka! Co to jest?

— Nic. Śpij!

— Nie mogę!

— Musisz!

— Ale ja nie chcę!

Rochs spojrzał uważnie na Artura, który pod wpływem jego spojrzenia drżał jak w gorączce.

— Czemu nie chcesz spać?

— Bo mam sny straszne — męczące...

Rochs wstał i zbliżając się do Artura, zapytał:

— O czem śnisz? Odpowiedz mi zaraz i mów prawdę, inaczej...

Młody artysta upadł na kanapę, oczy jego zamknęły się i wyglądał tak, jak gdyby spał. Ale zaraz potem zaczął mówić. Głos jego był cichy, dziewczęcy i niezmiernie smutny.

— Jestem Arturem — nie, nie jestem Arturem! Ukradziono mi duszę... moja biedna głowa... tak w niej pusto... Nie zawsze nosiłem to ubranie... nazywałem się dawniej inaczej...

Twarz Rochsa w strasznej skrzywiła się złości, podczas kiedy blada twarzyczka śpiącego przybrała wyraz śmiertelnego strachu.

— Nie, nie — jęknął, — byłem zawsze Arturem, byłem zawsze tem, czem jestem dzisiaj...

I automatycznie, monotonnie, jak gdyby powtarzał coś, czego się nauczył na pamięć, dodał:

— Nazywam się Artur Glensmore i jestem siostrzeńcem dyrektora muzyki Rochsa z St. Louis w Stanach Zjednoczonych.

Rochs uśmiechnął się, lecz nie spuszczał oczu z uśpionego.

— Opowiadaj dalej — rozkazał.

— Ciemno — ach, tak ciemno — nie widzę nic, ale wiem, że trup leży w pokoju. Zabity — zamordowany — ach...

Ciało Artura drgało konwulsyjnie i jak gdyby w uczuciu szalonego strachu, wyciągnął obie ręce rozpaczliwym ruchem.

— Krew spływa z niego — jęczał — znam umarłego, ale jego nazwisko — jego nazwisko — nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska! W pokoju znajduje się młoda dziewczyna — idzie ku niemu...

— Milcz! — krzyknął Rochs. — Kłamiesz, w pokoju nie ma kobiety. Mów dalej. Gdzie jesteś teraz?

Artur stał się nagle spokojniejszym. Ciało straciło kurczowe wyprężenie, głowa przechyliła się w tył i twarz wypogodziła się zwolna.

— Ach jak ciepło -- szeptał z uśmiechem zadowolenia — jak słonecznie! Jaki spokój! Gołąbki — ptaszki, wszędzie gdzie spojrzę kwiaty i słońce! Ah, gołąbki! Latają w koło mnie i gruchają!

Artur umilkł. Oddychał ciężko, lecz równo i byłby może usnął rzeczywiście, gdyby nie hałas, jaki w tej chwili powstał za drzwiami. Majtek, czyszczący drzwi kajuty, przewrócił z głośnym stukiem pełen węborek wody i zaklął straszliwie.

Artur zadrżał i krzyknął przestraszony.

— Boże! Czemu go chcesz zamordować? Jeden trup

już tu jest — to dosyć! Nie wyciągaj tyczki! Nie wyciągaj! Jeżeli on spadnie to i ja rzucę się w przepaść!

Artur wymawiał słowa te z taką namiętnością, że Rochs, zaniepokojony, obejrzał się mimowoli na drzwi. Zaledwie jednak odwrócił oczy od twarzy Artura, podniósł się młody artysta, potarł czoło i oglądając się wokoło rzekł cicho:

— Gdzie jestem?

Rochs spojrzał surowo na niego.

— Na pokładzie yachtu Eagle — odrzekł. — Gdzież masz być? Czas zresztą, abyś się zaczął ćwiczyć.

I podał mu skrzypce i nuty.

— Nie przestaniesz prędzej — dodał — zanim się capriccia nie nauczysz na pamięć.

Milcząc wziął Artur skrzypce i zaczął grać. Gdy dotknął strun, zapomniał o wszystkiem. Nie widział ani zachmurzonego czoła swego opiekuna ani nie słyszał groźnych słów jego.

— Nie dosyć jeszcze pokonana! Nie zupełnie jeszcze w mej mocy!

Po chwili wyszedł Rochs z salonu i spotkał na schodach sternika.

— Dobrą mam wiadomość — zawołał sternik — jutro wraca sir Wilson i przywozi zajmujących gości! Pana Buttlara, prezydenta policyi z Scotland Yard i Perosiniego, najsławniejszego detektiwa w Ameryce!

ROZDZIAŁ XI.

— Wstawaj chłopcze! — zawołał olbrzymi policyant na chłopaka, czyszczącego buty, który siedząc na nizkim murze, otaczającym ogród jakiejś willi, w głębokim był pogrążony śnie. Chłopiec nie obudził się. Policyant schwycił go za rękę i potrząsnął nim silnie.

— Co u licha się stało? — krzyknął młody człowiek otwierając teraz oczy.—Czy tak kto budzi przyzwoitych obywateli? Niech was djabli wezmą!

Ten wybuch gniewu bawił policyanta.

— Jeżeli chcesz spać — odrzekł — to poszukaj sobie innego miejsca, myślę jednak, że zamiast spać o jasnym dniu, powinieneś pracować. Jeżeli chrapisz jak muł, to nie możesz nic zarobić.

Rozmowę tę przerwał jakiś wytworny młodzieniec, który w tejże chwili skinął na czyciciela butów. Chłopak pobiegł spiesznie i ocierał sumiennie pył z wytwornych lakierków młodzieńca. Lecz jakże zdumiał, gdy ujrzał nagle, jak elegancki panicz wykonał lewą ręką dwa razy znak rogu! Nie mógł wątpić, że miał przed sobą wysłannika Czarnej ręki! Podniósł głowę i spojrzał na niego.

— Jesteś gotów? — szepnął młodzieniec.

— Tak panie — odrzekł czyściciel butów.

— Nie stracisz potem przytomności umysłu?

— Nie.

— Czy wiesz, że Mac Allan zaaresztuje kogoś innego i ułatwi ci tym sposobem ucieczkę?

— Wiem!

Młodzieniec podał mu pieniądz i nie obracając się już wcale, odszedł.

Policyant, obserwujący zdaleka tę scenę, zbliżył się teraz do chłopca.

— Cóż ci mówił ten gentleman? — zapytał.

Młody człowiek gniewnie zmarszczył czoło.

— Niech czart porwie tego głupiego swella — zawołał — co jego obchodzi moja wymowa i mój akcent! Nie byłem w szkołach w Bostonie!

— Jesteś bardzo szorstkim i nieprzyjemnym człowiekiem — odrzekł policyant niechętnie. — Gdybyś był ręcznikiem, nie utarłbym w ciebie rąk—taki jesteś ostry! Ale teraz mam inne zajęcie. Prezydent zaraz się ukaże.

Detektiw na kole przejeżdżał niedawno tędy i uwiadomił wszystkich policyantów na tej linii, że prezydent opuścił Biały Dom. Z rozmaitych stron zaczęli się teraz policyanci gromadzić—jeden z nich zaś, równie prawie wysoki i tęgi, jak kolega jego rozmawiający z czyścicielem butów, zbliżył się do niego i uprzejmym powitał ukłonem.

Był to Mac Allan.

Olbrzym ten był dziś blady jak płótno i zimny dreszcz przebiegał raz po raz jego członki. Każdy kto na niego uważnie spojrzał, musiał poznać, że sumienie tego człowieka spokojnem nie jest.

— Holla, kolego, co nam się stało? — zapytał go jeden z policyantów.

Mac Allan nie odpowiedział wprost.

— Żebym tak miał kieliszek porządnej wódki — rzekł. Chociaż tylko jeden łyk!

Policyant wzruszył ramionami.

— Byłaby to piekielnie nieprzyjemna sprawa, gdyby cię kto widział pijającego wódkę o tym czasie i podczas służby! Że wy Irlandczycy wiecznie macie pragnienie! Irlandczyk bez ginu i Niemiec bez piwa — to coś nadzwyczajnego. No, noc, nie trać odwagi! Teddy musi nadjechać każdej minuty, a potem możecie wziąść urlop.

Mac Allan usiłował zebrać całą energią i zapanować nad swym niepokojem, lecz większe wrażenie niż słowa kolegi, wywarło na nim groźne spojrzenie, jakiem go zmierzył czyściciel butów. Odzyskał nawet do tego stopnia przytomność, że rozmawiał dalej z policyantem o prezydencie.

— Teddy jedzie sam? — zapytał.

— Nie, nie wyjeżdża teraz nigdzie bez niemieckiego posła. Obydwaj nie rozłączają się ani na chwilę. Ciekawy jestem, który którego orznie! No, najdłużej za trzy minuty będą obydwaj tutaj!

Na tę wiadomość wstrząsnął znowu zimny dreszcz członkami Allana.

— Idź tam dalej, na stronę — zawołał policyant — nie pokazuj się nikomu! Teddy myślałby, że należysz do sekty Trzęsicieli.

Allan oddalił się o kilka kroków, lecz był tak słaby, że musiał się oprzeć o mur ogrodu. W tejże chwili podbiegł ku niemu czyściciel butów.

— Wypełnisz twój obowiązek, czy nie? — syknął przez zaciśnięte zęby.

— Tak — jęknął Allan. — Ale nie teraz! Nie mogę.

Zęby dzwoniły mu tak, że ledwie mówić zdołał, czerwona zwykle twarz stała się trupiobladą i cała jego olbrzymia postać zdawała się zapadać w siebie.

Chłopak splunął i mówił dalej:

— Nędznym tchórzem jesteś! Zostawiasz mnie samego w niebezpieczeństwie. Ale pamiętaj, że Maffia nie zna litości! Albo on albo ty!

Mac Allan chciał wstać.

— Dobrze — jęknął — uczynię co chcesz.

Ale w tejże chwili rozległ się tętent kopyt końskich, chmura pyłu rozbiła się wysoko i prezydent wraz z towarzyszem znikli na skręcie ulicy.

— — — — — — — — — —

Cameloci biegali z gazetami i wołali:

— Le soir! le soir! La presse! La presse!

Niektórzy uwiadamiali zaraz publiczność o tem, o czem donosiły gazety:

— Monsieur Lenis a Paris!

Najwięcej krzyczał jakiś niemłody już człowiek, którego czapka chauffera i okulary automobilisty ogólną na niego zwracały uwagę.

— Zkąd te przeklęte gazety wiedzą już o tem, że jestem w Paryżu — mówił Lenis do swego towarzysza, przeciskając się przez tłum.

— Pan wiesz przecież bardzo dobrze, że przed reporterami i fotografami nikt ukryć się nie może! A cóż dopiero osobistość taka wybitna, jak pan!

Lenis w złym był dziś humorze.

— Wiadomość tę trzeba natychmiast odwołać — rzekł. — Nie mam wcale ochoty być krok w krok prześladowanym przez tę hołotę!

— Na to się gazeta a raczej redaktor jej nie zgodzi. Jest on szczęśliwy, że jest pierwszym, który tę wiadomość podaje. Jutro umieści w gazecie szczegółowy opis podróży, mieszkania i zamiarów pana!

— Eh, monsieur, kilku banknotami zamknę usta redaktorowi.

— Wątpię! Gazeta pozyska o wiele więcej abonentów gdy zawiadomi czytelników o tem, że redaktora zamierzano przekupić.

Lenis zaklął.

— Możemy jednak spróbować. Jedźmy do redakcyi!

— Jestem pewny, że napróżno!

— Jedźmy!

Pokój, w którym właściciel „Obserwatora“ przyjął Lenisa i jego towarzysza, był mały i napełniony papierami. Właściciel gazety zamierzał właśnie wyjść. Stał na progu w płaszczu i cylindrze i wydawał lokalnemu redaktorowi na prędce kilka jeszcze dyspozycyi.

— Zkąd pan weźmiesz fotografią Amerykanina — mówił, — to mi bardzo obojętne — ale mieć ją musisz. Zachowaj dla niego dwa łamy. Nie zapomnij napisać, gdzie jadł dziś kolacyą. Jeżeli będzie w towarzystwie dam — tem lepiej. Trzeba donieść publiczności, ile osób odebrało sobie życie wskutek prowadzenia pieniężnych z nim interesowych. Nie chodzi tam naturalnie ani o kilka nazwisk ani o kilka milionów.

— Stop sir — zawołał teraz nagle Lenis. — Nie fatyguj daremnie twoich ludzi. Dawid Norton Lenis stoi przed tobą.

Właściciel „Obserwatora“ był jak piorunem rażony. I on i redaktor stali przez chwilę jak nieprzytomni, lecz właściciel gazety odzyskał pierwszy zimną krew.

— Kodak! kodak! panie Garand! — krzyknął.

Błyskawica magneziowa oświeciła pokój i oślepiła wszystkich na jedno mgnienie oka. Redaktor schwycił stojący na pogotowiu kodak i zdjął fotografią Lenisa. I podczas kiedy właściciel gazety otwierał okno, aby dym wypuścić, ukłonił się redaktor grzecznie Lenisowi i zwrócił się ku drzwiom.

Ale Lenis był prędszym niż on. Jednym skokiem stanął przy drzwiach, zakręcił klucz w zamku i wyjął z kieszeni rewolwer. Spokojny i uśmiechnięty, zbliżył się teraz do redaktora i rzekł łamaną francuszczyzną:

— Stop, gentleman! Podobasz mi się! Jesteś prawie tak smart jak Amerykanin, ale ja mam tu do załatwienia pewną sprawę, która wymaga twej obecności. Nie życzę sobie, aby się w Paryżu rozniosła wiadomość o mojem przybyciu. Odwołaj dzisiejszą wiadomość a dam ci dziesięć tysięcy dolarów!

Właściciel gazety uśmiechnął się szyderczo.

— Mój panie, „l'Observateur“ nie myli się nigdy i dla tego nigdy odwoływać nie potrzebuje.

— Piętnaście tysięcy dollarów.

Właściciel gazety wcale mu na to nie odpowiedział, tylko zwrócił się do redaktora.

— Zanotuj pan — rzekł — wydanie nadzwyczajne i każ krzyczeć camelotom: „Lenis jako bohater rewolweru“.

Lenis zrobił ruch taki, jak gdyby się chciał rzucić na mówiącego, lecz zapanował nad sobą. Włożył rewolwer do kieszeni i wyjął książkę czekową.

— Ile kosztuje gazeta pana? — zapytał.

— Nie myślę jej sprzedać!

Lenis schował książkę.

— Dotychczas pozwoliłem żartować z siebie — rzekł spokojnie — ale teraz przypomniało mi się, kim jestem i co uczynić mogę. Posłuchaj pan mej ostatniej propozycyi: albo sprzedasz mi natychmiast gazetę taką jak w tej chwili jest, albo założę w przeciągu trzech dni inną gazetę i każę ją twoim camelotom sprzedawać za pół ceny. Ja wytrzymam konkurencją dłużej, niż pan! Zdecyduj się!

Właściciel „Obserwatora“ chciał coś odpowiedzieć, lecz pan Lenis wyjął zegarek i przerwał mu temi słowami:

— Masz pan pięć minut czasu!

Redaktor, który aż dotąd nic nie mówił, przyskoczył do właściciela, szepnął mu kilka słów do ucha i obydwaj żywą i cichą rozpoczęli rozmowę. Nie upłynęło ani czterech minut, gdy właściciel zawołał stanowczo:

— Au nom du diable — sprzedam!

— Za ile?

— Za 250.000 franków.

Lenis wystawił czek i podał go właścicielowi gazety, który równocześnie spisał krótki akt sprzedaży i kupna.

— Przyjdź pan jutro do mnie — rzekł Lenis. — Podobasz mi się i może będziemy mogli pracować razem. Mam słowo pana, że zachowasz milczenie o tem, co się tu działo?

— Ca va sans dire.

I żegnając Lenisa skinieniem głowy, wyszedł dotychczasowy właściciel „Obserwatora“ z pokoju.

— A ja? — zapytał redaktor.

— Pan wykonasz teraz sumiennie moje rozkazy — inaczej wyrzucę cię natychmiast i postaram się o to, aby cię żaden inny właściciel gazety w Paryżu nie przyjął. Odwołasz więc wiadomość, że jestem w Paryżu.

— — — — — — — — — — —

Radca stanu Aleksander Czyczykow siedział w pierwszym rzędzie na sali koncertowej i słuchał z zamkniętemi oczami cudownej gry na skrzypcach. Widać po nim było, że lubił muzykę jak wszyscy Rosyanie, ale nawet i mniejszy znawca muzyki byłby musiał odczuć czar gry młodego artysty.

Na sali i w lożach głęboka panowała cisza. Świetna publiczność, jaka się tu zebrała na pierwszy koncert Artura Glensmore, nie śmiała prawie oddychać, aby nie stracić jednego tonu zaczarowanego po prostu smyczka.

Koncert d-Dur Brahmsa był już skończony i szalone oklaski zabrzmiały na sali. Ale na Arturze nie wielkie to wywierało wrażenie. I dopiero gdy towarzysz jego i impresario, dyrektor muzyki Rochs, który dotąd stał skromnie za fortepianem, zbliżył się do niego, ukłonił się na podziękowanie za oklaski i zeszedł z estrady.

W pauzie rozmawiała publiczność z wielkiem ożywieniem o nowym geniuszu.

— No, jakim jestem człowiekiem, Aleksandrze Petrowiczu? — zapytał radcę stanu porucznik dragonów. — Powiedz sam, czy nie lepiej, że my tu siedzimy, niż ten Mikołaj Iwanowicz? Co taki kupiec wie o muzyce, czego on wogóle chce w naszem towarzystwie? Nie należy on przecież wcale do nas.

Radca stanu nie mógł odpowiedzieć, w tej bowiem chwili wszedł znowu Artur na salę i zagrał Schumana „Marzenie.“ Publiczność była zachwycona, a gdy na zakończenie dodał jeszcze: „Le trille du diable“ Tartiniego, wtedy doszedł entuzjazm do najwyższego stopnia. Panie wstawały, aby lepiej patrzeć mogły na ładnego młodziutkiego chłopca, który stał na estradzie z skrzypcami w ręku, jak uosobienie muzyki; panowie klaskali i wywoływali go nieustannie i cała sala zdawała się drzeć od uniesienia i zachwytu. Ktoby był widział zebrane tu towarzystwo, lśniące brylantami i kosz-

townemi strojami, poddając się czarowi muzyki z południową prawie namiętnością, ten nie byłby nigdy przypuszczał, że nie było tu może ani jednej osoby, która nie miała krewnego na krwawych, lodowych polach Mandżuryi, lub nie opłakiwała już zgonu członka rodziny, poległego w walce na dalekim Wschodzie. Nad wszystkimi wisiała groza rewolucyi i gwałtownej śmierci. A pomimo to nikt o tem nie myślał. Bawiono się, tańczono i teatra i sale koncertowe nigdy tak jak obecnie zapełnione nie bywały.

Artur wyszedł już pewnie po raz piąty, oklaski zaś nie ustawały jeszcze. Młody artysta nie uśmiechnął się nawet, tak mu to wszystko było obojętne. Wychodził mechanicznie, kłaniał się mechanicznie, jak lalka, zawieszona na drucie i kierowana ręką mistrza.

Nareszcie zaczynała się sala wypróżniać. Doróżki i prywatne ekwipaże rozjeżdżały się na wszystkie strony i publiczność wracała do domu. I tak byli wszyscy jeszcze pod urokiem cudownej gry młodego artysty, że nikt nie zważał na to, co się na ulicach działo.

Czyczykow, porucznik dragonów i znajoma ich, Anna Michałowna, poszli na kolacyą do jednej z najwytworniejszych restauracyi na Malają Italianskają. W kielichach perlił się szampan, humory były znakomite.

— Dalibóg, mówię prawdę, — zawołał Czyczykow. — Wszystkie piękne kobiety na sali byłyby go najchętniej uściskały, a on stał jak posąg, zimny i niewzruszony.

Anna Michałowna uśmiechnęła się.

— On się już zmieni — rzekła.

— No — no! Wypytywałem się o niego w hotelu. On i jego towarzysz żyją w zupełnem odosobnieniu od świata i ludzi, nikogo nie odwiedzają i nikogo u siebie nie przyjmują. Nikt ich tu nie proteguje.

— To się wszystko teraz zmieni. Ludzie zarzucą ich zaproszeniami na obiady i kolacye, a wonne bileciki leżeć będą stosami na stole Artura Glensmore!

Porucznik dragonów podniósł głowę i spojrzał uważnie na piękną kobietę.

— Myślisz, że taki młodzik jak on może się kobietom podobać? — szepnął zaniepokojony.

— Zapewne!

— Ciekawy jestem, która by się w takim dzieciaku zakochać mogła!

— Ja!

— Wypraszam sobie podobne żarty!

— Nie zależę od nikogo i mogę robić, co mi się podoba! Rozumiesz?

Porucznik milczał.

— — — — — — — — — —

— Przyjaciele pana dziwną nam zrobili niespodziankę — zauważył Perosini, zapalając papierosa.

— Jak można postąpić w ten sposób wobec tak uprzejmego gospodarza, jak pan!

Wilson nic na to nie odpowiedział. Stał zapatrzony w morze i po chwili dopiero zwrócił się do swoich przyjaciół.

— Wiesz pan — odezwał się znowu Buttler — że mnie się ta sprawa nie podoba. Jest to co najmniej niegrzecznie...

— Ale ja nie rozumiem was moi panowie — przerwał Vilson niechętnie — jak możecie to nazywać niegrzecznością! Nie gniewajcie się, proszę, ale zawód wasz popsuł już trochę wasze charaktery. Po za najzwyklejszemi rzeczami szukacie zaraz jakiejś tajemnicy — każdy obojętny czyn wydaje wam się złym zamiarem i każdego człowieka, którego dokładnie nie znacie, uważacie za zbrodniarza!

— Słusznie. Jest to jedyna zasada, jaką się kierować możemy — odrzekł Buttler spokojnie.

Wilson rzucił papierosa w wodę.

— Czy wolno mi się zapytać, o co pan gości moich podejrzywasz? — zapytał szorstko.

— Chwilowo o nic. Dziwi mnie tylko ich postępowanie — odrzekł Buttler spokojnie.

— Ależ powiedziałem panu już, że Rochs bardzo się z przybycia naszego cieszył i wyraził głośno radość swoją wobec Spencera. Przypadek niestety zrządził, że dwie godziny później otrzymał depeszę, wzywającą go do natychmiastowego powrotu.

Perosini milczał dotąd, lecz teraz wmieszał się także do rozmowy.

— Sir Vilson — rzekł — ma słuszność, lecz co do mnie — hm — nie mam wprawdzie żadnego powodu do jakiegoś podejrzenia — broń Boże, ale nie bardzo wierzę w depesze, nadchodzące tak na zawołanie!

Vilson rozśmiał się.

— Mam cię, mój przyjacielu — zawołał. — Taki wytrawny detektiw jak pan, powinien właściwie logiczniej myśleć. Przypuszczasz, że depesza przyszła mu w samą porę i opierasz na tem twoje podejrzenie. Ale powinieneś to najpierw udowodnić. Ja bowiem jestem przekonany, że depesza przyszła mu bardzo nie w porę!

— Może być!

Perosini wymówił to tonem bardzo obojętnym i zdawał się być wyłącznie zajęty mieszaniem wody z koniakiem.

— Masz pan może fotografią twoich gości? — zapytał po chwili. — Bez kodaku nikt się dziś w podróż nie puszcza.

— Naturalnie! Fotografowałem obydwóch panów na Graciosie. Obrazek ten tak się Rochsowi podobał, że prosił mnie nawet o płytę.

— A fotografia?

— Wisi na dole w mojej kajucie. Pokażę ją panu.

Zadzwonił też zaraz i kazał stewardowi przynieść oznaczony obrazek.

Ale jedna minuta upływała za drugą, a steward nie wracał. Wszyscy milczeli, a gdy nareszcie Vilson zniecierpliwiony zerwał się, aby zejść na dół, wbiegł steward, niezmiernie zmieszany i rzekł:

— Sir, fotografia znikła!

— — — — — — — — — —

Na dworcu północnym panował jak zwykle, ruch niezmierny. Właśnie miał pociąg jakiś odchodzić — na peronie więc mnóstwo było osób. Jedni żegnali się ze łzami w oczach, inni wesołem „do widzenia“, urzędnicy biegali tu i tam, posługacze obarczeni paczkami i torbami szukali dla pasażerów wygodnych miejsc, jednem słowem — wszędzie gwar, hałas i zamieszanie.

Przed wagonem drugiej klasy stał Perosini i rozmawiał z Norą.

— Jest to ostatnia moja próba — mówił detektiw poważnie. — Ostatnia próba — która się nie uda i udać nie może! Jadę w świat po prostu na oślep!

Nora usiłowała go pocieszać, lecz widocznem było, że sama nie wierzy w to, co mówi.

— Tem lepiej — rzekła — że jedziesz do Niemiec bez żadnych pewnych podstaw, bo wtedy pomoże ci najlepszy detektiw w świecie — po tobie — dodała z uśmiechem — wtedy pomoże ci przypadek!

Ale Perosini wzruszył ramionami.

— Nie! Czuję, że ile razy spotykam się z Mafiosami, tracę zręczność i szczęście mnie opuszcza.

— Zkąd znowu! Czy nie schwyciliście owej sławnej trójki?

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Rozczarowanie.

19 **Powieść z spółczesnego haremu tureckiego.**

(Ciąg dalszy.)

Istotnie poznał się z Hamdi-bey'em, który takie zrobił na nim wrażenie. Mówił sobie nawet wtedy: bardzo jestem kontent, że przyszły małżonek mej drogiej przyjaciółki jest tak miłym i wybitnym człowiekiem.“ Nie był wszakże szczerym, bo wręcz przeciwnie bolało go, że zapoznał się z nim i musiał uznać jego zalety zewnętrzne a mianowicie młodość.

Pożegnawszy przyjaciółki, odbył całą drogę do Pery pieszo i na nowo zrobił uwagę, że Stambuł coraz więcej zmieniał się w swych zwyczajach i urządzeniu życia, bo tracił przez to główną zaletę polegającą na tem, że był ojcem oryentalnego miasta. Mianowicie w dzielnicy nisko położonej i w pobliżu mostów panował między ludnością tam nagromadzoną tak dziki i wstrętny harmider, jak nigdy tego dawniej nie było można zauważyć.

Większość ludzi nadających tam ton i dokazujących to nie Turcy, lecz mieszańcy wszelkich lewantyńskich ras mimo fezów, które noszą na głowach.

— Tak jest — westchnął Andrzej do siebie. — Nie można przeczyć, że zgubne tchnienie zachodu dotarło także do miasta kalifów. Jednakże — dodał — cóż mnie to może dotyczyć jeszcze!? Trzydziesty listopad nie zastanie mnie więcej w tem mieście. Prócz grobu Nedżiby, którego przyszłością zawsze jeszcze kłopocę się, wszystko inne jest mi obojętnem! A ja sam? Za pięć a najwyżej za dziesięć lat będę zupełną ruiną; życie moje chyli się ku wieczorowi i sprawy światowe niedługo przestaną mnie zajmować. Niech czas idzie swym biegiem i wyradza fałsz na każdym kroku! Niech porwie ten orjent, który tak umiłowałem, w swym pędzie. Co mnie to obchodzi!... Mnie, który nie zobaczę tego i może już jutro utracę świadomość tego, że istniałem...

LI.

Listopad zbliżał się do końca. Andrzej po raz ostatni spotkał się ze swemi przyjaciółkami w ubogim haremie starego domku w uliczce Sułtan-Selim, w sercu Stambułu.

Blada Zeyneba z odsłoniętem obliczem i Dżenana w czarnych osłonach rozmawiały ze swym przyjacielem tak spokojnie jak przy dawniejszych spotkaniach. Można było myśleć, że czeka ich jeszcze wiele schadzek, że 30 listopada, mający położyć kres wszystkiemu, nie jest tak blizkim lub wogóle nigdy nie nadejdzie. Istotnie nic nie zdradzało, że nie mieli więcej na ziemi posłyszeć swych głosów!

Zeyneba spokojnie mówiła o sposobach, jakich trzeba użyć przy korespondowaniu z Andrzejem, gdy będzie we Francyi.

— Biuro listów poste-restante podlega teraz wielkiemu dozorowi, lecz odkryłam sposób bezpiecznego przesełania listów. Nie dziw się przeto, jeźli czasem dwa tygodnie będziesz musiał czekać na nasz list.

Dżenana ze zimną krwią robiła plan, aby ujrzeć Andrzeja przynajmniej raz jeszcze wieczorem w dzień odjazdu.

— Trzydziestego listopada, o czwartej po południu, gdy parowiec odbija od brzegu, ja i Zeyneba będziemy przejeżdżały tuż obok pomostu i to naumyślnie w najętym powozie, o ile możności jaknajbliżej brzegu. Uważaj dobrze ze swego miejsca na pokładzie na wszystkie dorożki. Ponieważ Turczynkom nie wolno zatrzymywać się, pożegnanie nasze nie potrwa dłużej nad sekundę.

Andrzej przygotowany na to, że przy tem ostatniem spotkaniu zastanie obie przyjaciółki boleśnie przejęte, dziwił się ich rezygnacyi. Niemniej spodziewał się ujrzeć raz jeszcze oczy Dżenany, ale czas upływał a osłony były nieporuszone. Około czwartej, gdy dla podtrzymania rozmowy rozpoczęto jeszcze naradzać się nad ich powieścią, zrobiło się niespodzianie zupełnie ciemno w pokoju tak, iż wszyscy troje umilkli. Lecz Zeyneba wskazała na zakratowane okno, które było dotąd oświetlone przez odblysk padający z okna naprzeciwko położonego i słońcem oblanego domu. Słońce zachodziło a o tym czasie postanowili się rozstać.

Andrzej podniósł się, aby się pożegnać. Gdy stanęli naprzeciwko siebie, Andrzej pomyślał sobie: „w tym momencie jeszcze, nim rozstaniemy się na dobre, pragnąłbym przecież spojrzeć w jej oczy“. Bolało go, że Dżenana i teraz jeszcze zdawała się tego nie rozumieć, ale nie rzekł ani słowa. Poprzestał na pocałowaniu jej rączki z powagą. Ukłonił się głęboko i odszedł. Takiem było ich rozstanie.

Idąc sam przez ulice medytował: „Skończyło się to istotnie dobrze... nie mogło być inaczej... a ja w mej próżności wyobrażałem sobie, że musi to wziąść obrót dramatyczny!“...

Lecz nagle napadła go chęć powrócić, zastukać do drzwi, wejść raz jeszcze, bo one obie musiały być tam dotąd. Do Dżenany chciał powiedzieć: droga przyjaciółko, nie możemy rozstawać się tak!... Nie zadawaj mi takiej boleści... Pozwól mi przynajmniej spojrzeć raz jeszcze w swe piękne oczy i uściśnij moją dłoń trochę serdeczniej. Wtedy odejdę mniej smutny...

Nie powrócił jednak, lecz poszedł dalej, w głębokiej zadumie pogrążony. Gdy spojrzał na sklepienie nieba, zdało mu się, że w lekkich obłokach unoszą się dwie niewieście postacie świetlane, niekiedy spływające w jednę. Byłaż to dusza Nedżiby? Czy Dżenany?... Albo może dusze ich obu?... Nie wiedział...

LII.

Następnego dnia odebrał Andrzej dwa listy:

Zeyneba do Andrzeja:

„W istocie nie mogę wierzyć, że widzieliśmy się wczoraj po raz ostatni. Byłabym się rzuciła Ci do nóg, błagając, abyś nas tak nie opuszczał. O! Andrzeju! Zostawiasz nas same w ciemnościach ducha i serca... Ty idziesz do światła, do życia a my trawiemy nasze marne dni w marzeniach wśród zawsze równej atmosfery haremowej.

„Wczoraj po Twem odejściu płakałyśmy gorzko. Wreszcie zeszła Zeriszta, dawna mamka Dżenany, strofowała nas, wzięła w objęcia, ale i ona, poczciwa dusza, płakała pospołu z nami, widząc nasze łzy.

„Poleciłam, aby Ci dziś rano wręczono kilka drobnych tureckich upominków. Wyszycia pochodzą od Dżenany;

jest to wiersz z Koranu, który wisiał nad jej łóżkiem od jej dziecięcych lat.

„Przyjmij odemnie te dwa wuale; wual z haftowanemi różami jest czerkieskiego pochodzenia, który kiedyś dostałam od babki a wual ze srebrnemi naszyciami znajdował się w skrzyni w naszem jali. Możesz porzucić go na kanapę w swem paryskiem pomieszkaniu.“

Zeyneba.

Dżenana do Andrzeja:

„Chciałabym czytać w Twem sercu, gdy okręt omijać będzie „narożnik seraju“, gdy potem znikną Ci z przed oczu cyprysy naszych cmentarzy, nasze minarety, kopuły... Będziesz patrzał na nie aż do końca; wiem to. A potem dalej, na wodach Marmory będziesz szukał wzrokiem przy byzańtyńskim murze starego, opuszczonego cmentarza, na którym raz w Twej obecności modliłyśmy się przy grobie tak Ci drogim.

„Wreszcie wszystko zmiesza się w Twych oczach: cyprysy Stambułu, wszystkie minarety, kopuły i wszystkie wspomnienia...

„O! niechaj zmieszają się, splączą: mały domek w Ejub, gdzie mieszkała Twoja pierwsza miłość... i urządzone Twe mieszkanie w sercu Stambułu opodal świątyni... i to wielkie mieszkanie, do którego pewnego razu zaprowadzono Cię zakazanemi drogami. Niechaj zmieszają się wszystkie cienie: Twej dawnej bogdanki i trojga dusz, które chciały być Twemi przyjaciółkami. Zjednocz je w sercu i zachowaj wspólnie w swej pamięci i w swem sercu... I te trzy ostatnie kochały Cię, może więcej aniżeli przypuszczałeś.

„Wiem, że w oczach Twych zabłysną łzy, gdy zniknie ostatni cyprys w oddali... Ja pragnę dla Ciebie także jednej łzy...

„A gdy powrócisz do swego kraju, jak będziesz myślał o swych przyjaciółkach? Jest to okropnie pomyśleć, że może nic nie zostanie, że wzruszysz ramionami i uśmiechniesz się na nasze wspomnienie...

„Z jaką niecierpliwością i obawą oczekuję książki, w której chcesz mówić o nas Turczynkach — o nas! Czy odnajdę tam to, co napróżno pragnę odgadnąć odkąd się znamy: dno Twej duszy, istotę Twych uczuć — wszystko czego nie zdradziły Twe krótkie listy ani Twe dziwne słowa... Prawda, że nieraz dostrzegłam u Ciebie wzruszenie, lecz stłumiałeś je tak szybko i głęboko... Bywały chwile, gdzie byłabym chciała otworzyć Twoją głowę i Twe serce, aby wreszcie dowiedzieć się co kryje się za Twemi zimnemi, jasnemi oczyma!

„O! Andrzeju, nie mów, że wpadam w rozmarzenie... Jestem taka nieszczęśliwa i tak samotna. Cierpiącą jestem i tyle myśli nawiedza mnie nocami!...

„Żegnaj mi, Andrzeju!... Żałuj mnie i kochaj trochę, jeźli możesz.“ Dżenana.

Andrzej odpisał:

„Nie wiele pozostaje Ci do odkrycia — wierzaj mi — po za memi „zimnemi i jasnemi“ oczyma. Ja wiem o wiele mniej z tego, co kryje się poza Twemi oczyma, droga, miła zagadko!

„Robisz mi zawsze wymówki z powodu mego skrytego, zamkniętego w sobie usposobienia. Otóż pochodzi to stąd, że zawiele przeszedłem w życiu. Gdy przeżyjesz tyle, zrozumiesz mnie lepiej. A czy uważasz, że wczoraj przy pożegnaniu naszem nie byłaś jak lód zimną?..,

„Do widzenia jutro o czwartej na smutnym brzegu Galaty! Przy natłoku i ciżbie przed odjazdem, będę dobrze szukał Cię oczyma i ręczę Ci, że nie ujdzie mej uwadze Twój drogi, czarny cień, bo przecież nie pozwoliłaś mi oglądać nic więcej... Andrzej.

LIII.

Czwartek, trzydziestego listopada stawił się na czas nieubłaganie — dzień bardzo obojętny dla większości ludzi, ale dla Andrzeja i Dżenany bardzo ważny, może o całem ich życiu rozstrzygający.

Zbudzili się oboje o wschodzie słońca, prawie o tym samym czasie, pod tem samem niebem i w tem samem mieście — przynajmniej na kilka godzin jeszcze. Oboje przekonali się o stanie pogody i stwierdzili z ubolewaniem, że było zimno, wietrzno i deszczowo.

Andrzej byłby dla tego już życzył sobie słonecznego i pogodnego dnia, bo chciał jeszcze po raz ostatni przejść się po Stambule a teraz musiał tego zaniechać. Dżenana zaś ze swej strony obawiała się, że wskutek tego powietrza nie będzie już mogła pożegnać odjeżdżającego Andrzeja. Jakiego pozoru miała się chwycić, aby wytłomaczyć swoją przejażdżkę podczas deszczu? I jak pozbyć się szpiegów: czarnych eunuchów i swych niewolnic? Zeyneba chcąc towarzyszyć Dżenanie w przejażdżce do Galaty, także miała obawy, czy da się to przeprowadzić przy takiem brzydkiem powietrzu.

Andrzej uspokoił się wkrótce i odjazd niewielkie na nim robił wrażenie. Wyobrażał to sobie jako coś daleko boleśniejszego. Ze zdziwieniem zauważył, że przejmowało go uczucie wyzwolenia z tutejszych stosunków, zanim jeszcze wyjechał. A co się tyczy Dżenany mówił sobie:

„Najlepiej, że zerwaliśmy szybko. Gdy będę stąd daleko, uspokoi się ona wkrótce i ostatecznie wszystko się wyrówna pod pieszczotami Hamdi'ego.“

O drugiej opuścił hotel, w którym przebył kilka ostatnich dni i rzuciwszy jeszcze jedno długie spojrzenie na Ejub i Stambuł, udał się do Galaty.

Około czwartej poczęło ciemnieć. O tym czasie miał statek odbić od lądu i Dżenana obiecała pojawić się jeszcze. Po wybraniu kabiny i umieszczeniu bagaży, zajął miejsce na pokładzie, z którego mógł ogarnąć okiem całą ulicę, jaką miały nadjechać jego przyjaciółki. Jednakże obstąpili go zaraz uprzejmi znajomi z różnych poselstw a między nimi Jan Renaud z melancholiczną miną, oraz wiele innych osób, które przyszły, by go pożegnać. Aczkolwiek wszystkim z wdzięcznością uścisnął dłoń, obawiał się jednak, że przeszkodzą mu i nie będzie mógł spostrzedz oczekiwanego powozu. Nadbrzeżna ulica i arterye prowadzące do niej, były przepełnione takim tłumem wrzaskliwym i ruchliwym — jak zwykle przy przyjeździe lub wyjeździe okrętów pasażerskich, — że trudno było się tam zoryentować.

Dzwonek sygnałowy po raz drugi dał się słyszeć i zniewolił wszystkich nie wyjeżdżających do opuszczenia pokładu, tak, iż Andrzej mógł swobodnie spoglądać w ulicę, lecz niestety zawsze jeszcze nie mógł dojrzeć gorąco oczekiwanego zjawiska.

Lecz tam... Tak, to musi być ona!... Całkiem zwyczajny fiakr, jak mówiła, posuwał się z trudem naprzód wpośród ciżby. Okno powozu było spuszczone a wewnątrz było można dostrzedz dwie czarno zawualowane kobiety. Gdy powóz powoli przejeżdżał przez nadbrzeże, jedna z tych kobiet uniosła nagle welon... „Dżenana!“... zawołał w duszy Andrzej, ogromnie zdziwiony. Dżenana, która pragnęła, aby ją jeszcze zobaczył i przez sekundę spojrzała na niego z tak rozdzierająco bolesnym wyrazem, że Andrzej tym promieniem ugodzony nigdy nie mógł go zapomnieć.

Oczy jej błyszczały od łez, lecz już nic z tego nie było widać, welon zapadł i Andrzej rzekł sobie, że to istotnie jest rzeczywistem, wieczystem rozłączeniem jakby ukochane oblicze przykryto wiekiem trumny. Nie wychyliła się z okna, nie kiwnęła mu ręką, ni głową na pożegnanie, jedynie przesłała mu to spojrzenie — krok zresztą wystarczający, aby wepchnąć Turczynkę w największe niebezpieczeństwo.

(Ciąg dalszy nastąpi)